

Harper Fiona

Drogocenna jemiola

Po rozwodzie ze słynnym aktorem Louise przenosi się do wiejskiej posiadłości, by z dala od paparazzich i niewiernego męża leczyć rany. Poznaje tam Bena Olivera, też rozwiedzionego, który wychowuje kilkunastoletnią córkę. Szybko rodzi się między nimi uczucie, ale Louise boi się angażować w nową miłość...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niejedna kobieta wiele by dała za znalezienie się na miejscu Louise. Mężczyzna siedzący naprzeciwko niej przy restauracyjnym stoliku był łakomym kaskiem i nie bez powodu zajął w tym miesiącu pierwsze miejsce w rankingu najatrakcyjniejszych, prowadzonym przez magazyn „Hollywood Hottest”.

Milczeli. Louise wpatrywała się w swoje sztuce, podsłuchując mimowolnie rozmowy toczone przy sąsiednich stolikach gwarnej restauracji.

Jej towarzysz poprawił się na krześle i rozprostowując nogi, zawadził obcasem o mały palec u jej prawej stopy. Drgnęła i pochyliła się, by rozmasować urażone miejsce.

- Mógłbyś uważać, Toby! - wysyczała, wynurzając się spod stolika i posyłając mu karcące spojrzenie. Toby przestał się uśmiechać do dwóch tlenionych elegantek, które defilowały akurat obok, i przeniósł wzrok na Louise.

- Coś mówiłaś?

- Nieważne - mruknęła, wyprostowała się i krzyżując nogi, wsunęła je na wszelki wypadek pod krzesło. Mały palec pulsował bólem.

Wrócił kelner z apetycznie wyglądającymi przystawkami,

Fiona Harper

które zamówili, i Toby zabrał się bez zwłoki za swoją perliczkę. Nóż i widelec Louise pozostały na serwetce.

Nie skomentował nawet, jak to miał w zwyczaju, kalorycznej zawartości jej talerza. Jak to, zapomniała już, że ma zrzucać te kilogramy, których przybyło jej po porodzie?

Co z tego, że Jack zaczął niedawno ósmy rok. Jego ojciec był wciąż niepoprawnym optymistą, jeśli sądził, że ona wciśnie się jeszcze kiedyś w tę markową sukienkę, która wisi w głębi szafy.

Ale przecież Toby już kilka lat temu wypisał się emocjonalnie z ich małżeństwa. Louise zachowywała pozory przez wzgląd na Jacka, pozowała z uśmiechem do zdjęć zamieszczanych potem w prasie codziennej oraz kolorowych magazynach i stanowczo zaprzeczała wszelkim pogłoskom o kryzysie w ich związku. Toby nie powiedział nigdy wprost, że już jej nie kocha, ale zmiany w jego zachowaniu mówiły same za siebie. No i ta najświeższa plotka...

Wzięła sztucce i przypuściła atak na swój makaron.

- Nie narzucaj takiego tempa, Lulu! Nie pali się - mruknął Toby, nie odrywając oczu od swego talerza. Lulu. Na początku ich znajomości podobało jej się, że Toby tak się do niej zwraca. Lulu brzmiało egzotycznie, podniecająco. .. i o niebo bardziej interesująco niż zwyczajne stateczne Louise. Lubiła być wtedy Lulu.

Teraz wołała, by Toby znowu dostrzegł w niej Louise. Przerwała posiłek i spojrzała na niego z nadzieją, że uniesie głowę, uśmiechnie się do niej, puści oko... cokolwiek.

Skinął na kelnera i poprosił o jeszcze jedną butelkę wina. Potem rozejrzał się po sali i skinął głową tamtym dwóm blondynkom siedzącym kilka stolików od nich, ale jej przez

Drogocenna jemiola

169

następnych dziesięć minut nie zaszczycił nawet jednym spojrzeniem. Mogłaby wstać i wyjść, a on by tego pewnie nie zauważył.

- Toby?

- No? - Wreszcie na nią spojrzał, ale w jego oczach próżno się było doszukiwać tego co dawniej, a więc uczucia.

Szukała słów. Jak o to zapytać? I jak znieść odpowiedź?

Spróbowała wyrazić to oczami. Kiedy była modelką, fotografowie rozpływali się w zachwycie nad „intensywnością” jej spojrzenia. Spróbowała teraz zawrzeć w nim wszystko, co czuła, łącznie z tą wątłą iskierką nadziei, która jeszcze nie zgasła.

- Jezu, Lulu. Rozchmurz się, bo.

Przerwał mu dzwonek komórki. Wyciągnął ją z kieszeni i osłaniając wyświetlacz dłonią, odczytał wiadomość. Drgnęła mu leciutko dolna warga. Spojrzał na Louise, tym razem uważnie, sprawdzając, jak zareagowała, potem schował telefon do kieszeni marynarki i pochylił się nad swoim talerzem.

Czekała.

Wyczuł to i wzruszył ramionami.

- Z pracy. Wiesz, jak to jest...

Tak się niestety składa, że chyba wie. I rozpamiętywała tę swoją wiedzę już do końca kolacji, machinalnie pakując widelcem do ust kolejne pozbawione smaku porcje.

To nie była wyssana z palca plotka.

Przez całe popołudnie, od rozmowy telefonicznej z przyjaciółką, żyła nadzieją, że to tylko głupie spekulacje, że ktoś dodał dwa do dwóch i wyszło mu pięć. Przed sześcioma laty, kiedy tabloidy zaczęły się rozpisywać o „potajemnych schadzkach” Tobyego z odtwórczynią głównej roli w jego

Fiona Harper

filmie, nie wierzyła, udzielała wywiadu za wywiadem, zarzekając się, że to nieprawda. Przy drugim takim „incydencie” prezentowała wobec mediów tę samą postawę, ale prywatnie zaczęła zwracać większą uwagę na wszystko to, co w mniejszym lub większym stopniu odbiegało od normy: te prowadzone przyciszonym głosem rozmowy telefoniczne, te wieczorne spotkania z agentem w niecierpiącej zwłoki sprawie:.. Niezbitych dowodów niewierności nie miała, ale same te obserwacje wystarczały, by nagabywana przez dziennikarzy z coraz mniejszym przekonaniem wszystkiemu zaprzeczała.

Przymknęła oczy, odgradzając się powiekami od rojnej sali. Nie chce już przez to przechodzić. Musi tego oszczędzić Jackowi. Wcześniej był za mały, by rozumieć, co się dzieje, teraz potrafi już czytać. A gdyby zobaczył coś na pierwszej stronie gazety? Zacisnęła zęby. Jaki przykład daje synkowi, okłamując świat i przymykając oczy na skoki w bok Tobyego? Jaki mężczyzna z niego wyrośnie, jeśli uzna postępowanie ojca za wzór do naśladowania?

- O Boże! Przecież to Tobias Thornton! Można prosić o autograf?

Wyrwana z tych refleksji Louise otworzyła oczy. Do Tobyego przymilały się, a raczej mizdrzyły dwie dziewczyny. Toby z ostentacyjną zamaszystością i czarującym uśmiechem, za który uwielbiały go fanki, złożył swój podpis na podsuniętej serwetce. Louise przyglądała się temu z kamienną twarzą. Dopiero na odchodnym dziewczyny spojrzały przelotnie na nią. I nie były to spojrzenia przyjazne. Zostali wreszcie sami. Toby otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo znowu zadzwoniła jego ko-

Drogocenna jemiola

171

mórka. Zerknął na wyświetlacz, stłumił uśmiech i dał znak Louise, że idzie odebrać na stronie. „Mój agent”, odczytała z ruchu jego warg, kiedy wstawał od stolika. Oddalił się w stronę baru.

Louise obserwowała męża kątem oka. Tokował przez telefon rozpromieniony, raz po raz wybuchając śmiechem i przeglądając się odruchowo w lustrze, które wisiało za barem. Jego agent dawno przekroczył pięćdziesiątkę i był prawie tak samo szeroki, jak wysoki. Nie, Louise potrafiła dodawać. I z tego dodawania wychodziło jej, że dwa i dwa to cztery.

Chociaż w środku coś w niej usychało, wyprostowała się na krzeselku i nawiązała kontakt wzrokowy z Tobym, który zakończył już rozmowę i wracał do stolika. No, doczekała się wreszcie swojego uśmiechu - ciepłego, pogodnego - a jego oczy zapewniały ją, że jest najcudowniejszą istotą pod słońcem. Zajmując miejsce, wziął ją za rękę i musnął kłykieć czubkiem kciuka. Louise też się uśmiechnęła, ale kiedy nachylała się do niego, ten uśmiech zniknął.

- Toby... - powiedziała schrypniętym szeptem i urwała na chwilę, żeby wtrącić w myślach parę epitetów nienadają-cych się do wykrzyczenia na głos. - Chcę rozwodu.

Zerwał się wiatr i wzburzył wodę w rzece. Mała dinghy, którą Ben przywiązywał właśnie do poczerniałego ze starości pierścienia cumowniczego, zakołysała się na fali. Sprawdził węzeł i dla pewności zacisnął go mocniej. Potem przeskoczył na usypane z kamieni moło, przeszedł nim do końca i wstąpił na wąską kamienistą ścieżkę przecinającą trawersem strome, zalesione zbocze wzgórza.

Pogwizdywał w marszu i zatrzymywał się co jakiś czas,

Fiona Harper

by odetchnąć pełną piersią czystym, lekko słonawym powietrzem i posłuchać wrzasku rybitw kołujących nad rzeką. Ścieżka prowadziła między drzewami wyglądającymi na pierwszy rzut oka jak zwyczajny, dziko rosnący las. Trudno w nim było rozpoznać niegdysiejszy wypielegnowany park z elementami egzotyki - tu bambus skryty wśród dębów, tam palmy rosnące pień w pień z wierzbami i brzoźami.

Po dziesięciu minutach marszu wyszedł spomiędzy drzew i stanął na polanie zdominowanej przez nadgryziony nieco zębem czasu, ale nadal majestatyczny, biały, georgiański dwór.

Na widok tego pięknego budynku ogarniał go zawsze smutek. Nawet ktoś, kto nie zna jego historii, nie wie, że ostatnia właścicielka już od ponad dwóch lat nie żyje, domyśliłby się, że Whitehaven stoi puste.

Wszedł na frontowy ganek, obrywając po drodze wąs pnącza, który owinał się wokół podstawy jednej z grubych białych kolumniek. Od jego ostatniej wizyty mijał już miesiąc, a posiadłość była tak rozległa, że nawet gdyby mieszkał tu na stałe, trudno by mu było zapanować w pojedynkę nad zarastającym ją zielskiem.

Laura złapałaby się za głowę, gdyby zobaczyła teraz swój poddający się powoli i dziczejący ukochany park. Z miejsca rozgimnastykowałaby powykręcane przez artretyzm palce i chwyciła za sekator. Inna sprawa, że chyba wiele by nim nie zwojowała.

W wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat była jeszcze żywotną staruszką, zasługującą w pełni na takie magiczne miejsce jak Whitehaven. Dlatego w te niedziele, kiedy Jasmine zabierała do siebie na weekend jego była żona, wpadał teraz tutaj podlewać lilie i mięsożerne rośliny w cieplarniach, kosił też

Drogocenna jemiola

173

trawniki. Wepchnął ręce w kieszenie, pokręcił głową i ruszył przez wysypany żwirem podjazd na tradycyjny obchód domu i stajni. Przez pamięć Laury starał się utrzymywać to wszystko w jakim takim stanie do czasu, kiedy znajdzie się nowy właściciel. Wtedy będzie mógł spędzać wolne niedzielne popołudnia, drzemiąc przed telewizorem.

Wszedł do ogrodu otoczonego murem z omszałej czerwonej cegły i skierował się ku szklarniom. O tej porze roku rośliny żywiące się owadami lubiły hibernować i trzeba je było co jakiś czas podlać, obejrzeć liście, sprawdzić, czy temperatura w starych szklarniach jest wystarczająco wysoka.

Pochylając się nad którąś z kolei donicą, usłyszał za sobą trzask. Odwrócił się na pięcie.

Pierwsze, co zobaczył, to wlepione w niego oczy - wielkie, ciemne i pełne złości.

- Fora ze dwora! Wynocha stąd, ale już!

Stała w rozkroku, podparta pod boki, zauważył jednak, że zachowuje bezpieczną odległość i miętosi nerwowo w palcach przydługie rękawy płaszcza. Uniósł ręce na znak, że się poddaje, i cofnął o krok, dając tym do zrozumienia, że z jego strony nic jej nie grozi.

- Przepraszam! Nie wiedziałem... nie miałem pojęcia, że ktoś...

- To teren prywatny! Obcym wstęp wzbroniony! Kiwnął głową. Jeśli się dobrze zastanowić, to rzeczywiście

on jest tu intruzem. Ale uświadomiono mu to dopiero przed kilkoma sekundami.

- Obiecałem poprzedniej właścicielce, kiedy była chora, że będę się opiekował ogrodem, dopóki dom nie zostanie sprzedany.

Kobieta patrzyła na niego. Ochłonał już trochę z pierw-

Fiona Harper

szego zaskoczenia i mógł teraz lepiej się jej przyjrzeć. Była cała w czerni: czarne buty, czarne spodnie, długi czarny płaszcz. Nawet długie włosy miała prawie czarne. A marsowa mina podkreślała tylko jej urodę.

- No i został sprzedany. Ja go kupiłam. Czyli to zobowiązanie jest już nieaktualne.

Skoro tak... Zacisnął wargi, wziął z ławy swoją kurtkę i skierował się do wyjścia.

- Przepraszam - rzucił przez ramię. - Więcej mnie tu pani nie zobaczy.

- Chwileczkę - zawołała, kiedy sięgał już do klamki. Zatrzymał się i obejrzał. Kobieta postąpiła kilka kroków

w jego stronę i złożyła dłonie.

- Agent obrotu nieruchomościami powiedział mi, że w tym domu już od kilku lat nikt nie mieszka.

Dlaczego pan tu wciąż przychodzi?

Wzruszył ramionami.

- Obietnic należy dotrzymywać. Kiwnęła głową i odwróciła wzrok.

- Pan ją naprawdę znał? - spytała. - Laure Hastings?

- Naprawdę - burknął, nie wiedząc czemu poirytowany tym pytaniem.

- Jaka ona była?

To pytanie pozostawił już bez odpowiedzi i opuścił szklarnię. Było chłodne październikowe popołudnie. Kobieta wybiegła za nim.

- Hej! Nie tędy droga!

Właśnie ze tędy. Nie chciało mu się wyjaśniać, że wie, dokąd idzie. Nie był w nastroju. Ale ona nie dawała za wygraną i chociaż trudne to było w butach na wysokim obcasie, dotrzymywała mu kroku.

Drogocenna jemiola

175

Wyszedł z ogrodu inną furtką, niż do niego wszedł, i ruszył ścieżką prowadzącą na dół, ku rzece.

- Prosiłam pana o opuszczenie mojej posesji! Zatrzymał się, odwrócił i znalazł się z nią nos w nos.

Cofnęła się szybko, ale jej oczy wciąż ciskały gromy.

Nie miał czasu ani ochoty na znoszenie babskich huśtawek nastrojów i humorów. Nie dość, że Megan, to jeszcze ta.

Spojrzał Jaśnie Dziedzicze Na Włościach prosto w oczy.

- No i opuszczam ją w te pędy najkrótszą z możliwych drogą! - Odnosił dziwne wrażenie, że z nich dwojga to ona jest tutaj intruzem. To ona zburzyła spokój i ciszę jedyne go na świecie azylu dla takiego jak on kłębka nerwów.

Wydęła wargi.

- Brama jest tam. - Wskazała kciukiem za siebie.

- Wiem. - Wziął głęboki oddech, by nie powiedzieć czegoś, czego by później żałował. - Ale ja przycumowałem swoją łódkę przy hangarze.

- To ja mam hangar? - zdziwiła się, znowu łagodniejąc. - Prawdziwy? Nie makietę z filmowej scenografii?

Wzruszył ramionami, odwrócił się i ruszył dalej ścieżką w dół. Zacisnął zęby, kiedy usłyszał za sobą jej kroki.

- No i co znowu? - zawołał, nie oglądając się. - Przecież opuszczam pani posesję, nie widać?

- Chcę zobaczyć ten hangar.

Był już przy schodkach prowadzących na molo, kiedy usłyszał za sobą cichy okrzyk. Odwrócił się instynktownie i wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać.

Ale ona się nie potknęła. Nie zauważyła nawet pomocnej dłoni, którą jej podawał. Stała z rękami przy ustach, oczy jej

Fiona Harper

błyszczały. No i fajnie, pomyślał. Pora powiosłować. Im szybciej się stąd wyniesiemy, tym lepiej. Zbiegł szybko do łódki i zaczął rozsupływać węzeł. Słyszał, jak kobieta schodzi powoli po schodkach, ale starał się nie zwracać na to uwagi. Miał już zeskoczyć z mola do dinghy, kiedy zadzwoniła komórka, którą miał w tylnej kieszeni dżinsów. Nie chciało mu się odbierać, ale to może być Megan. Coś mogło się przytrafić ich córce.

A ponieważ Dziedziczka, jak ją w myślach ochrzcił, stała już na wyciągnięcie ręki, wpatrując się z zachwytem w stary kamienny domek na przystani, niewiele myśląc, wcisnął jej w zmarzniętą dłoń koniec linki i sięgnął po telefon.

- Tato? - To była Jasmine, nie Megan.

- O co chodzi, kwiatuszku?

Po tamtej stronie rozległo się prychnięcie.

- Musisz mnie tak przezywać? Mam prawie dwanaście lat. To niepoważne.

Ben ściągnął brwi. Nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, odkąd jest u Megane, a już jakby słyszał jej matkę.

- O co chodzi, Jas?

- Mama mówi, że nie będzie mnie mogła wieczorem odwiedzić. Coś jej wypadło. Możesz po mnie przyjechać?

Ben spojrzał na zegarek. Trzecia z minutami.

- O której?

Przyciszone głosy w słuchawce. Jasmine skonsultowała się z matką.

- Mama mówi, że musi wyjść około czwartej.

- Nie dam rady, Jas. - Spacerując tam i z powrotem po molu, czekał, aż Jasmine przekaże to matce.

Drogocenna jemiola

177

- Mama chce z tobą rozmawiać.

Zachrząściłoi telefon przechodził z ręki do ręki. Ben przygotował się na najgorsze.

- Ben? Nie mogę uwierzyć, że mi to robisz! Wiem, że wciąż masz do mnie żal, ale najwyższa pora, żeby sobie odpuścić, pogodzić się z losem... A ty zachowujesz się jak dziecko.

Chciał coś powiedzieć, wytłumaczyć jej, że jest fizyczną niemożliwością, żeby zdążył na czwartą, ale Megan nie dopuściła go do głosu.

- Wszystko musi być zawsze po twojemu, prawda? Nie przepuścisz okazji do uprzykrzenia mi mojego nowego życia, mam rację?

- Mam nadzieję, że Jasmine tego nie słyszy - powiedział, a właściwie wywarczał.

Megan westchnęła ciężko.

- No tak. Ty jak zawsze zmieniasz temat!

- Megan, jestem teraz w Whitehaven. To nie ma nic wspólnego z uprzykrzaniem ci życia, ja po prostu nie zdążę stąd na czwartą.

- Nie to nie. W takim razie zabieram ją ze sobą. Jestem umówiona na kolację ze... znajomym.

Podrzucę ją o ósmej.

Megan rozłączyła się. W pierwszym odruchu chciał cisnąć telefonem w wodę. Była żona jak nikt potrafiła wyprowadzić go z równowagi. Opanował się jednak, wsunął komórkę do kieszeni i wrócił do łódki.

- Dziękuję za potrzymanie - mruknął, odbierając od kobiety linkę.

- A miałam wybór? - wypomniała mu.

Ben, przeczesując palcami rozwichrzoną czuprynę, policzył do pięciu.

178

Fiona Harper

Nie wolno mu zapominać, że to nie na nią jest wściekły, no, w każdym razie nie przede wszystkim na nią.

- Przepraszam.

Spodziewał się pogardliwego prychnięcia, ale ona, o dziwo, uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Rozwiedziony? Kiwnął głową.

- Ja też - powiedziała cicho. - Mimowolnie podsłuchałam połowę tej rozmowy i doznałam déjà vu.

Pewnie gdybym się uparła, potrafiłabym dopowiedzieć sobie resztę.

- Ma pani dzieci?

- Synka - odparła zduszonym głosem. - Jest pod opieką ojca, od kiedy się tu przeprowadziłam. -

Odwróciła się szybko i przez kilka długich sekund patrzyła na drzewa porastające zbocze wzgórza.

Kiedy znowu na niego spojrzała, na jej twarzy znowu gościł uśmiech.

- Co panu wiadomo o historii tej przystani?

- O ile wiem, domek jest o wiele starszy od domu. Podobno zbudowano go w szesnastym wieku. No i grał znaczącą rolę w filmie „Letni romans”, ale to chyba pani już wie.

- Pamiętam, widziałam ten film. - Spojrzała na wzniesioną z cegły i drewna dwukondygnacyjną konstrukcję. - Ale nie sądziłam, że ten hangar naprawdę istnieje. Myślałam, że to tylko makieta sklecona na potrzeby filmu z tektury, czy z czego tam się buduje te...

- Jak najbardziej istnieje. No... - Ben spojrzał na trzymaną w ręku linkę - ... na mnie już czas.

Kiwnęła głową.

- Ja tu sobie jeszcze pobuszuję.

Ben zeskoczył do dinghy i patrzył stamtąd, jak kobieta

Drogocenna jemiola

179

wstępuje po schodkach prowadzących do drzwi na piętrze domku. Od lat nikt tam nie wchodził. Niewykluczone, że deski przez ten czas przegniły albo stoczyły je korniki. Zwlekał jeszcze z odbiciem od mola, gotów śpieszyć z pierwszą pomocą, w razie gdyby pod nową właścicielką zarwała się podłoga.

Dolna kondygnacja hangaru, na jednym poziomie z molo, miała wielkie łukowe płycinowe wrota i spełniała rolę zadaszanej przystani dla małych łódek. Na górnej kondygnacji znajdowało się pojedyncze pomieszczenie z balkonem na całą szerokość budynku. Ben czekał, aż kobieta się na nim pojawi.

Minęła minuta, a ona się nie pojawiała. Zaczynał się niepokoić.

Wygramolił się z westchnieniem z łódki na molo.

- Hej tam, na górze! Wszystko w porządku?

Cisza. Miał już zawołać po raz drugi, kiedy zobaczył ją u szczytu schodków.

- Nie mam klucza! - odkrzyknęła z zawiedzioną miną i wzruszyła bezradnie ramionami.

Uwiązał z powrotem łódź i podszedł do stromych schodków prowadzących do drzwi domku.

Patrzyła na niego z góry, trzymając się jedną ręką metalowej poręczy, a drugą opierając o ścianę.

- Wie pan, gdzie go szukać?

Jedna z cegieł przy pierwszym stopniu była obluzowana i wystawała na parę milimetrów ze ściany.

Wyciągnął ją. We wgłębieniu, które maskowała, leżał wypolerowany klucz. Laura powiedziała mu kiedyś o tej skrytce - tak na wszelki wypadek.

Trzeba będzie przekazać tę informację nowej właścicielce,

180

Fiona Harper

pomyślał. Wszedł po omszałych stopniach i bez słowa wcisnął jej klucz w dłoń.

Masz. Zadanie wykonane.

Stali tak naprzeciwko siebie ze złączonymi dłońmi. Opa miętanie przyszło dopiero po kilku sekundach. Cofnął szybko rękę i odruchowo wytarł ją o dzinsy.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Dziękuję - powiedziała.

Wsunęła klucz w dziurkę, przekręciła go i nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się cicho. Ben spodziewał się zobaczyć półki, wiosała i puszki z pokostem.

Tymczasem w przydymionym świede przesączającym się przez niemyte od dziesięcioleci szyby w oknach jego oczom ukazało się zupełnie inne wnętrze. Trzciniowa sofa i fotele skupione przed małym wiktoriańskim kominkiem wyłożonym białymi i niebieskimi kafelkami. Małe biurko i krzesło w kącie pod jednym z łukowatych okien.

Kobieta podeszła do biurka i z czcią przesunęła palcami po blacie, pozostawiając małe smugi w pokrywającej je warstwie kurzu.

- Pani Hastings często tu przychodziła? - zapytała, wciąż patrząc na biurko.

Sam nie wiedział, dlaczego tu za nią wszedł. Powinien był po prostu odwrócić się i odejść. Wywiązał się z obietnicy danej Laurze. Nie miał tu już nic więcej do roboty. A jednak... nie mógł się jakoś przemóc.

Wzruszył ramionami, kiedy na niego spojrzała.

- Od kiedy ją znałem, ani razu. Była za słaba, żeby schodzić tu ścieżką, a potem wracać pod górę, ale mile wspominała to miejsce.

Fiona Harper

Kobieta patrzyła na niego beznamiętnie. Sam nie należał do ludzi rozmownych, ale krępowały go te przedłużające się przerwy w konwersacji. Wepchnął ręce w kieszenie i przeciągnął czubkiem buta po zakurzonej podłodze.

Szukał słów.

- Niezbyt atrakcyjne miejsce dla takiej jak pani kobiety, prawda? - mruknął.

Ściągnęła lekko brwi.

- A skąd pan wie, jaką kobietą jestem?

Podeszła do dwuskrzydłowych łukowych drzwi pośrodku przeciwległej ściany, otworzyła je i wyszła na szeroki balkon.

- Prosiłam chyba pana o opuszczenie mojej posesji. -W jej tonie nie było już gniewu, zastąpiło go znużenie.

Odwrócił się bez słowa, wyszedł z hangaru i zbiegł po schodkach na molo. Kobieta go już nie potrzebuje. Dała mu to wyraźnie do zrozumienia. Wskoczył do dinghy, zapuścił zaburtowy silnik i odbił od mola, kierując się na Lower Hadwell po drugiej stronie rzeki.

Mijając Anchor Stone, skałę wystającą ponad zielony nurt, zaryzykował rzut oka za siebie. Kobieta stała nadal na balkonie wsparta rękami o barierkę, z uniesioną głową, wpatrzona w dal. On jakby dla niej nie istniał.

Louise wpatrywała się tak długo w stado owiec pasące się na łące po drugiej stronie rzeki, że w końcu te małe białe punkciki rozmyły jej się przed oczyma i zlały w jedną białą plamę. Nie odwracała jednak wzroku, dopóki łódka, którą śledziła kątem oka, nie znikła jej z pola widzenia.

Wtedy odwróciła się, oparła o barierkę balkonu i spojrzała przez otwarte drzwi w głąb pokoju.

Drogocenna jemiola

183

Nie wiedział, z kim go sobie skojarzyła, kiedy stojąc na schodkach dwa stopnie niżej podawał jej długi czarny klucz. To była jej ulubiona scena z „Letniego romansu”, najro-mantyczniejsza chyba filmowa scena, jaką w życiu widziała, w której Jonathan odwiedza Charity w jej sanktuarium nad przystanią, dokąd zwykła uciekać przed okropieństwami swego życia.

Mężczyzna patrzył na nią swoimi ciepłymi orzechowymi oczami i sam o tym nie wiedząc, oferował jej coś więcej niż ten klucz. Przemknęło jej wtedy przez myśl, że może nie wszyscy mężczyźni są podłymi szczurami, i po raz pierwszy od lat się zaczerwieniła.

Louise oderwała się od bariery i weszła do pokoju. Nie w głowie jej teraz było wiązać się z kimkolwiek, nie wiedziała więc, dlaczego ten ogrodnik tak ją zaintrygował. Zamknęła powoli i zabezpieczyła drzwi balkonowe, po czym wyszła z pokoju, zaniknęła drzwi na klucz, a ten odłożyła na miejsce.

W zapadającym zmierzchu, zatopiona w myślach, ruszyła w drogę powrotną. Ten ogrodnik wyświadczył jej przysługę, przypominając, że życie to nie bajka. Parsknęła głośno na tę myśl, płosząc z zarośli małego ptaszka.

Trochę obcesowo potraktowała tego człowieka, ale od dwóch tygodni nie widziała Jacka i była rozdrażniona. Toby protestował, ale w końcu zgodził się, żeby - kiedy już zdomowi się na dobre w Whitehaven - Jack zamieszkał z nią i uczęszczał do miejscowej szkoły. Niedługo znowu będą z Jackiem razem.

Toby utrudniał, jak mógł, postępowanie rozwodowe. Naprawdę aż dziw, że skłonny był poświęcić na nią tyle swojego cennego czasu i energii.

Wychodząc spomiędzy drzew na polanę przed domem,

Fiona Harper

ciaśniej owinęła się płaszczem. Rzeka płynąca u stóp wzgórza była szara i wzburzona, od zachodu ciągnęły ciemne wełniste chmury.

W wielkim holu Whitehaven nie było ani jednego mebla, ale Louise z uśmiechem przekroczyła próg domu. Kiedy go kupowała, dwa pokoje na parterze oraz dwie sypialnie i łazienka na piętrze znajdowały się w całkiem przyzwoitym stanie. Wystarczyło tylko odmalować ściany, wyszorować podłogi i już mogła się wprowadzać. Meble przywiozła w środę. Na razie musiały jej wystarczyć dmuchany materac i śpiwór w sypialni, w salonie gąbczasta, trochę wytarta sofa w kwiatki z miejscowego sklepu ze starzyzną oraz kilka walizek z najpotrzebniejszymi rzeczami.

Wszystkie meble zostawiła Toby'emu, co wielce go rozczarowało. Aż się palił toczyć o nie zażarte boje, ale ani myślała dać mu tej satysfakcji. Niech dla odmiany on trochę pocier-pi. Nie chciała jego mebli. Nie chciała niczego, co przypominałoby jej lata nieudanego małżeństwa.

Niczego, prócz Jacka.

Zresztą żaden z tamtych ultranowoczesnych, minimalistycznych, robionych na zamówienie sprzętów tutaj by nie pasował. Znowu się uśmiechnęła. Ona jak najbardziej pasuje do tego miejsca. Whitehaven nie jest pierwszą posiadłością, której była właścicielką, ale od czasu opuszczenia skromnego domku, w którym mieszkała z ojcem i rodzeństwem, dopiero tutaj poczuła się swojsko.

Uświadomiła to sobie od pierwszego wejrzenia. Ona i ten dom byli dla siebie stworzeni.

Na kuchennym zegarze było już dwadzieścia po ósmej. Ben siedział przy starym dębowym stole z filiżanką wystygłej

Drogocenna jemiola

185

rozpuszczalnej kawy w dłoni i usiłował skoncentrować się na dziale sportowym gazety, zamiast zerkać co chwila na minutową wskazówkę. Czego jak czego, ale niepunktualności nie można było Megan zarzucić.

Minęło kolejne dwadzieścia minut i miał już sięgnąć po telefon, kiedy usłyszał zatrzymujący się pod domem samochód, zaraz potem trzaśnięcie drzwiami, i do kuchni wejściem od tyłu wpadła Jas.

Zanim zdążył zapytać, czy jej matka też raczy zajrzeć -i przeprosić za spóźnienie - auto ruszyło z piskiem opon, co mówiło samo za siebie.

- No i jak tam kolacja? - spytał z wystudiowaną nonszalancją przewracając stronę gazety.

Jas wzruszyła ramionami.

- Kolacja jak kolacja, nie ma o czym mówić...

- Lekcje odrobiłaś?

- Prawie.

- Co znaczy prawie? - spytał, wyglądając gazetę i wstając od stołu.

Jas położyła na krześle torbę ze swoimi rzeczami i przerzuciła płaszczyk przez oparcie.

- Zostały mi jeszcze dwa zadania z matmy, ale... nie, nie przerywaj...

Ben zamknął usta.

- .. ale one są dopiero na czwartek. Mogę je rozwiązać jutro? Proszę, tatusiu?

Patrzyła na niego błagalnie wielkimi orzechowymi oczami. Śliczna była z tymi jasnymi, lekko falującymi włosami do ramion. Przypomniało mu się, jak jeszcze kilka lat temu z tą samą miną prosiła go o jeszcze jedno pchnięcie huśtawki.

- Dobrze, Niech będzie jutro.

186

Fiona Harper

- Dziękuję. - Jas obiegła stół, objęła go w pasie i przytuliła się. Potem wyjęła z leżącej na krześle torby jakieś kolorowe czasopismo. - Poczytam sobie do poduszki - powiedziała i schowała je szybko za plecy, zanim zdążył rzucić okiem.

Coś go tknęło.

- Pokaż, co tam masz?

Jas oddała mu z ociąganiem magazyn.

- To mamy. Przeczytała już i powiedziała, że mogę sobie wziąć.

Ben ściągnął brwi. „Buzz”. Po raz pierwszy miał ten periodyk w rękach, ale z krzykliwych sloganów na okładce wynikało, że to szmatławiec drukujący najniższego sortu plotki o celebrytach. Tytuł artykułu wstępnego brzmiał „Celebrycki cellulit”. No, ładnie. Jak Megan mogła dać Jasmine coś takiego? Czyżby nie zdawała sobie sprawy z wrażliwości dziewczynek w wieku Jas?

- Nie wydaje mi się, żeby to była lektura dla ciebie. Jas przewróciła oczami.

- To bardzo ciekawe pismo. Wszystkie moje koleżanki je czytają.

Jego brwi powędrowały w górę.

- Co do jednej?

Jas kiwnęła bez przekonania głową.

- Tak myślałem - mruknął. - Nie ma tutaj nic mądrego. Same brednie... - Przerzucił kilka stron z nadzieją, że córka przyzna mu rację. - To najgorszy rodzaj plotek i...

Urwał. Powoli odłożył otwarte czasopismo na stół, pochylił się nad nim, wsparł obiema rękami o blat i wpatrzył w ziarniste zdjęcia.

- A nie mówiłam, że ciekawe? - powiedziała z wymuszonym uśmiechem Jasmine.

Drogocenna jemiola

187

- Przecież to...

Jas zajrzała mu pod ręką.

- Louise Thoraton - poinformowała go dziwnie pogardliwym tonem. - Mama mówi, że szkoda powietrza, którym oddycha. Zresztą nie tylko mama tak uważa.

- Louise... jak? - spytał zduszonym szeptem. Jas dała mu kuksańca w ramię.

- Taaaato! Z księżycy spadłeś?! Nie wiesz? To żona Tobia-sa Thorntona... no, tego aktora.

Żona? Przecież powiedziała, że jest tak jak on po rozwodzie i nie widział powodu, dla którego miałby jej nie wierzyć.

- Jakiego aktora?

- Grał w tym filmie akcji, który oglądaliśmy razem w ostatni weekend. Tym o bombie na pokładzie prywatnego odrzutowca.

Aha. O tego chodzi.

Zdjęcie było niedoświetlone i niewyraźne - pewnie robiono je z daleka teleobiektywem wielkości promu kosmicznego. Ale nie ulegało wątpliwości, do kogo należą te miotające gromy oczy utkwione w paparazzo. Synek tulił się do niej wystraszony, nie było widać jego twarzy.

Zamknął czasopismo i spojrzał na Jasmine.

- Przepraszam, Jas. Moim zdaniem tego rodzaju magazyny za bardzo ingerują w prywatność.

Odradzałbym ci ich czytanie.

Przygryzła wargę. Była wyraźnie niepoczyna. Jednak po chwili zastanowienia uśmiechnęła się do niego i kiwnęła głową. Odetchnął z ulgą.

- Grzeczna dziewczynka.

Fiona Harper

- Wybieramy się całą klasą do teatru - zmieniła temat Jas, - Dasz mi piętnaście funtów na bilet?

- Dam. Zaraz poszukam portfela. Gdzieś go posiałem. Na co idziecie?

- Na „Poskromienie złościcy”.

Ben kiwnął z aprobatą głową i przesunął wzrokiem po kuchennych blatach, ale sfatygowanego portfela tam nie było. Zajrzał do szuflady na różności - w niej też go nie znalazł. Gdzie też mógł położyć tego skórkowańca po powrocie do domu?

- Idź do siebie, Jas - mruknął. - Przyniosę ci te piętnaście funtów, jak tylko znajdę portfel, dobrze?

- Dobrze.

- Aha, jeszcze jedno, Jas...

Zatrzymała się w progu kuchni i spojrzała na niego pytająco.

- Ty też uważasz, że na tę Louise Thornton szkoda powietrza, którym oddycha?

W odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami.

Przez następne dziesięć minut szukał bezskutecznie tego nieszczęsnego portfela. Przetrzęsnał kieszenie płaszcza, samochód, jeszcze raz kuchnię i nic... Dopiero odtwarzając w pamięci wypadki mijającego dnia, doznał olśnienia. Już wiedział, gdzie go zostawił.

Drewniana ława, promienie popołudniowego słońca padające ukośnie przez nierówne tafle szkła z czasów królowej Wiktorii. A obok donicy z dzbanecznikiem czarny pękaty portfel z miękkiej skóry wypchany kartami kredytowymi i starymi paragonami.

Usiadł z powrotem na krześle i zamyślił się. Portfel wypychał mu tylną kieszeń dżinsów, wyjął go więc dzisiaj po

Drogocenna jemiola

189

południu i położył na półce w szklarni. I zapomniał o nim, kiedy wzburzony stamtąd wychodził. Pokręcił głową. A poprzysiągł sobie, że jego noga więcej w Whitehaven nie postanie. Na karty i paragony mógł w zasadzie machnąć ręką.

Ale w portfelu miał też swoje ulubione zdjęcia z Jas, robione, kiedy ona miała jeszcze loczki na głowie i braki w uzębieniu, a on gładkie, niepoorane zmarszczkami czoło.

Nie ma rady. Musi tam wrócić.

Ben zapukał raz i drugi. Dostyc mocno, by zostać usłyszanym, ale bez przesady, żeby nie wyjść na nerwusa. I czekał. Pogoda się popsuła, w powietrzu wisiała wilgotna mgiełka, przytłumiając wszystkie barwy nad rzeką. Kiedy mgiełka przeszła w mżawkę, postawił kołnierz płaszcza.

Miał już zapukać po raz trzeci, kiedy jego uwagę przyciągnęło jakieś poruszenie na skraju pola widzenia. Odwrócił się szybko i spojrzał w okno gabinetu po prawej stronie ganku. Nie, chyba mu się przywidziało.

Skulił się i wepchnął ręce w kieszenie kurtki.

- Halo? Przepraszam za najście... - Miał już dodać: pani Thornton, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie wypada, nie przedstawiła mu się przecież.

- Naprawdę nie chcę się pani narzucać - wołał dalej, przykładając ucho do drzwi - ale zostawiłem tu coś i chciałbym...

Zamek szcęknął cicho i drzwi uchyliły się na tyle, że zobaczył w nich połowę jej twarzy.

- Zostawiłem w szklarni portfel - wyjaśnił z przeproszającym uśmiechem.

Nic nie powiedziała, patrzyła tylko.

Powinien był odwrócić wzrok, ale zafascynowały go jej

Fiona Harper

oczy. A ściślej mówiąc, jedno, to które widział. Pokręcił głową i spojrzał na czubki swoich butów. Przyszedł tu w jednym konkretnym celu.

- Jeśli pozwoli mi go pani odzyskać, to więcej nie będę zawracał pani głowy. Obiecuję.

Zmierzyła go wzrokiem i szerzej uchyliła drzwi.

- Proszę tu zaczekać, wezmę klucz.

Ben zszedł z ganku na podjazd wysypany chrząszczącym pod nogami żwirem i czekał w ciszy jesiennego poranka. Louise Thornton pojawiła się po dwóch minutach. Włosy miała ściągnięte w koński ogon, czoło zasłaniała grzywka. W džinsach i pulowerze wyglądała całkiem zwyczajnie.

Ruszyła przodem. Obeszli dom i stanęli przed szklarnią. Otworzyła drzwi i odsunęła się, wpuszczając go do środka. Ale nie została na zewnątrz. Usłyszał za sobą jej kroki na wyłożonej płytkami posadzce. Obejrzał się przez ramię i stwierdził, że przygląda mu się podejrzliwie.

Portfel leżał dokładnie tam, gdzie zapamiętał, przy donicy ze wspaniałą mięsożerną rośliną uginającą się pod ciężarem purpurowych i zielonych pąków. Schował go do kieszeni kurtki i pochylił się nad saracenią, która padła ofiarą wczorajszego spotkania. Zapomniał o niej zupełnie po pojawieniu się Louise Thornton.

Odstawił donicę ostrożnie na półkę i ugniół palcami mazisty kompost.

- Pan naprawdę jest ogrodnikiem?

- A co, myślała pani że grzebałbym się w ziemi dla zabawy?

- Wiem z doświadczenia, że większość mężczyzn jest jak dzieci. Dlaczego pan nie miałby się grzebać w ziemi dla zabawy?

Drogocenna jemiola

191

- Owszem, lubię to zajęcie. Przyjemnie czuć ziemię pod palcami.

Uniosła brwi, wyraźnie nieprzekonana. Założyłyby się, że nigdy w życiu nie miała brudu pod paznokciami. I założyłyby się jeszcze, że jej życie jest z tego powodu uboższe.

- Praca w ogrodzie daje wiele satysfakcji. Rośliny są kapryśne. Trzeba się przy nich nachodzić, żeby zaczęły wyglądać jak powinny i cieszyć oko.

Obrzuciła krytycznym spojrzeniem najbliższej rosnące kwiaty.

- Te jakoś nie zaczynają. Co z pana za ogrodnik? Omal nie parsknął śmiechem.

- Znajdują się teraz w fazie uśpienia. W sprzyjających warunkach rozkwitną na nowo. - Patrzył na nią przez chwilę, a ona rozglądała się po szklarni. - No, mam już to, po co przyszedłem. Teraz znikam, tak jak obiecałem. A ja obietnic dotrzymuję.

Minął ją, wstrzymując oddech, i wyciągniętym krokiem ruszył do wyjścia.

- To niech mi pan obieca, że jeszcze tu zajrzy! - zawołała za nim, kiedy był już w połowie drogi przez trawnik.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ben ani myślał się oglądać. Zaparł się, że tym razem nie zareaguje. Miał po dziurki w nosie wyniosłych kobiet. Ale...

Louise stała na trawniku i patrzyła na niego. Jego uwagę przykuły znowu jej oczy. W ich wyrazie było coś błagalnego. Koledzy mówili mu, że ma słabość do przygnębionych kobiet, a on stanowczo temu zaprzeczał, teraz jednak był skłonny się z nimi zgodzić.

- Chodzi o ogród - powiedziała, wyciągając z ust pasmo włosów, które wiatr zwał jej na twarz. - Ma pan rację, ktoś musi się nim zajmować. Szkoda by było, gdyby...

Jej oczy znowu błagały.

Dobrze, podejmie się tego. Ale nie dla niej - dla Laury. I tylko do czasu, kiedy będzie miał już pewność, że ta nowa właścicielka potrafi zająć się posiadłością. A wtedy przekaże pałeczkę którejś z firm od terenów zielonych i wystawi rachunek za swoje usługi. Mimo wszystko życie jest wystarczająco skomplikowane i bez doglądania cudzych ogrodów.

Louise odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie znikł jej z oczu w gęstwinie trawy, zarośli i drzew, która stanowiła podobno jej park. Nie zdobyła się jeszcze na odwagę, by dokładnie go spenetrować. Odwróciła się i spojrzała znowu na szklarnię.

Drogocenna jemiola

193

Rozum jej odebrało? Niewykluczone.

Przed chwilą z własnej nieprzymuszonej woli udzieliła człowiekowi, o którym nic nie wie, ustnego pozwolenia na swobodne poruszanie się po terenie swojej posiadłości. Z drugiej strony... miał w sobie coś tak szczerego i ujmującego, że trudno mu było nie zaufać. Ale następnym razem będzie go musiała zrewidować, żeby się upewnić, czy aby nie nosi przy sobie aparatu z teleobiektywem i dyktafonu.

Ostrożności nigdy nie za wiele.

Drzwi szklarni zostawiła otwarte. Pod wpływem impulsu weszła do środka i stanęła w ciepłej wilgoci. Ładnie tu pachniało - ziemią i stojącym powietrzem.

Na półkach ciągnęły się rzędy egzotycznych roślin. Nigdy takich nie widziała. Podeszła do donicy z tą, którą przesadzał ogrodnik. Ben? Tak mu na imię? Cienka zielona łodyga stercząca pionowo, rozszerzająca się u góry, zakończona jakby plisowaną zaślepką, która przypominała trochę powiekę. Poczula jakieś pokrewieństwo z tym niedawno przesadzonym, wątłym i kruchym kwiatem. Dotknęła wilgotnej gleby u podstawy. Była przyjemna w dotyku. Cofnęła rękę, ale nie otarła jej o dzinsy. Przysadziste brązowe rośliny w pobliżu drzwi weszły już w fazę hibernacji. Zupełnie jak ona. Te lata małżeństwa z Tobym przeżyła jak w półśnie. Przypomniła sobie zdjęcie słynnej aktorki, które widziała przed kilku laty w czasopiśmie plotkarskich. Uchwycono ją, kiedy skacze z radości po odebraniu przesyłki z dokumentami finalizującymi jej rozwód. Od tamtego czasu zrzuciła dziesięć kilogramów, zdobyła dwa Oscary i widywano ją w towarzystwie przystojnych, młodszych od niej mężczyzn.

Czy ona też nie powinna teraz rozkwitnąć, zacząć żyć

Fiona Harper

własnym życiem? Nic takiego na razie się nie działo. Wciąż czuła się wypalona.

Wyszła ze szklarni, zamknęła za sobą drzwi i pomaszerowała ścieżką do swojego nowego domu.

Może poczuje się lepiej, kiedy się już urządzi. Jeszcze parę dni i przyjadą meble. Do tego czasu wybierze się może do Dartmouth, miasteczka kilka mil stąd w dół rzeki, i pobuszuje w tych galeriach sztuki, których reklamy widziała. I może zorientuje się, co będzie potrzebne Jackowi, kiedy pójdzie po zimowych feriach do miejscowej szkoły.

Tak, na pewno poczuje się lepiej, kiedy Jack zamieszka tu z nią na stałe.-A nie będzie przecież mieszkał w niewysprzątanym, pełnym pajęczyn pokoju. Będzie tutaj dwudziestego siódmego października - za niecałe dwa tygodnie. Złożyła ręce i z uśmiechem weszła do domu kuchennymi drzwiami. Czeka ją mnóstwo pracy.

Niecałe dwa tygodnie później Louise kończyła porządki w pokoju Jacka. Spojrzała na zegarek.

Dochodziła pierwsza, a ona nic jeszcze nie jadła. Za pięć godzin Jack już tu będzie, pomyślała ze wzruszeniem, uklepując poduszkę i kładąc ją na kołdrze w biało-niebieską kratę.

Nie widziała synka od trzech tygodni. Westchnęła. Na tak długo jeszcze się nigdy nie rozstawali. Toby miał do niej pretensje, że już z nim nie podróżuje i może między innymi dlatego ich małżeństwo się rozpadło. Nawet silne związki podatne są na zawirowania, kiedy ludzie spędzają całe tygodnie z dala od siebie. Ale jak mogła zostawiać Jacka? Był dla niej wszystkim. Zawsze będzie.

Uznała, że to niepedagogiczne przeprowadzać się z oś-miolatkiem i zmieniać szkołę przed samymi feriami.

Drogocenna jemiola

195

Toby zgodził się - dzięki Bogu - żeby Jack zamieszkał z nią, chociaż sąd obojgu przyznał prawo do opieki nad dzieckiem. Zresztą sam nie był w stanie zapewnić synkowi należytej opieki, bo często wyjeżdżał w teren na zdjęcia.

Stańło na tym, że z ojcem Jack będzie spędzał wakacje i co drugi weekend. Ale dziś wieczorem przyjeżdża do Whitehaven. Nareszcie.

Podeszła zamyślona do okna i natychmiast odskoczyła, przywierając plecami do ściany. W zaroślach coś zalśniło. Po pięciu sekundach ochłonęła trochę i wyjrzała ostrożnie zza okiennej ramy.

Przekleci namolni fotografowie!-Można było się spodziewać, że któryś się tu zaczął w dzień przyjazdu Jacka. Gdyby złapała tego... tego szczura, rozbiłaby mu aparat i pozwała do sądu.

Znowu to lśnienie! Tam!

Chciała już odskoczyć, ale tego nie zrobiła. To nie żaden teleobiektyw, to odbicie światła w dużym błyszczącym szpadlu. Szpadlu Bena ogrodnika.

Było niedzielne popołudnie i Ben trzeci weekend z rzędu pracował w ogrodzie. Podniecona przybyciem Jacka, zupełnie o tym zapomniała.

Starł się nie rzucać w oczy. Nie wiedziała, kiedy przychodzi ani kiedy wychodzi, a o tym, że w ogóle gdzieś tu jest, świadczyło zazwyczaj tylko jego pogwizdywanie albo buczenie kosiarki do trawy.

Weszła do kuchni. Posadzka z kamiennych płyt prezentowała się tu fantastycznie, ale te sosnowe szafki spomarań-czowiały już ze starości i przydałoby się je wymienić. Odruchowo wstawiła wodę na herbatę.

Miała nadzieję, że Jackowi się tu spodoba. Bo co by zro-

Fiona Harper

biła, gdyby powiedział, że nie chce mieszkać na głuchej pro wincji, że woli w okazałej rezydencji ojca?

Zamyślona, wyjmowała z szafek wszystko, czego potrzebowała, i dopiero po chwili zorientowała się, że włożyła dwie torebki herbaty do dwóch kubków. Dawny nawyk, z któ) przecież po rozwodzie zerwała.

No, nic. Ta druga herbata będzie dla Bena. Roześmiała się gorzko. W końcu zapracował sobie na nią w pocie czoła. Trawniki prezentowały się teraz przepięknie, a zarośla i krzewy! w pobliżu domu zaczynały nabierać cywilizowanego wyglądu,

Ale żarty na bok. Trzeba będzie mu zapłacić.

Usłyszała chrzęst kroków na zewnątrz i chwilę później, przed kuchennym oknem przedefilował Ben. Pewnie szedł' do szklarni.

Traktowała go dotąd z wyższością wielkiej damy i lepiej nie myśleć, jaką opinię sobie o niej wyrobił. Kubek herbaty może nie wystarczyć na zawarcie rozejmu, ale w tej chwili niczego lepszego w swoim arsenale nie miała.

Zalana wrzątkiem torebka wypłynęła na wierzch. Louise zawahała się. Słodzi czy nie?

Zdając się na instynkt, wsypała do kubka jedną płaską łyżeczkę cukru i zamieszała. Wyglądał jej na mężczyznę, który nie pogardzi odrobiną słodczy.

Zbliżając się do szklarni, stwierdziła, że będzie miała problem. W jednej ręce kubek, w drugiej kubek, a trzeciej nie miała. Jak otworzy sobie drzwi albo zapuka? Ale zostawianie jednego kubka w kuchni też nie jest wyjściem. Zanim zaniósłaby drugi Benowi, omówiła z nim warunki zapłaty i wróciła, herbata zupełnie by jej ostygła.

Zajrzała przez szybę do szklarni. W połowie jej długości, spod ciemnych lśniących liści wystawała jedna no-

Drogocenna jemiola

197

ga. Kopnęła w drzwi i wstrzymała oddech. Nie mogła się zdecydować, jaką minę przybrać. Na pewno nie tę podejrzliwą, którą zaprezentowała mu tamtego pierwszego dnia. Głupawy uśmiech też tu nie pasował. Wahala się jeszcze między „chłodną obojętnością” a „profesjonalną uprzejmością”, kiedy właściciel nogi wyczołgał się spod liści, wstał i otrzepując dłonie z ziemi, spojrzał w jej stronę.

Pokazała mu przez szybę kubek z herbatą, a kiedy uśmiechnął się szeroko, wypuściła powietrze z płuc. Musiał być naprawdę spragniony, bo biegiem dopadł do drzwi i otworzył je na całą szerokość.

Podawała mu kubek. Wziął go od niej, uśmiechnął się jeszcze szerzej i pociągnął duży łyk.

- Fantastyczna. Właśnie taką lubię. Dzięki. Louise upiła łyczek ze swojego białego kubka.

- Nie ma za co. Należy się panu.

Ben oparł się o jedną z półek i wypił jeszcze jeden łyk herbaty. Zdawał się czuć tutaj jak u siebie w domu.

- Hm, a co do zapłaty. Ben uniósł brwi.

- Nie ma mowy, żeby się pan tu trudził za darmo. Wzruszył ramionami.

- Kocham tę pracę. Przepraszam, że nie zdołałem zrobić więcej.

Nie ułatwiał jej zadania. Zamierzała go tylko zapytać, jak się kształtują aktualne stawki, i wypisać czek. A ta jego uprzejmość jest podejrzana. Uprzejmi mężczyźni mają zazwyczaj jakiś ukryty cel.

Odstawiła kubek na najbliższą półkę. Ona tu jest szefem. Ona tu rządzi.

- Proszę mi powiedzieć, ile zwykł pan sobie liczyć za tego rodzaju prace...

Fiona Harper

Dopił herbatę i spojrzał na nią z powagą.

- Nie ma o czym mówić - powiedział wymijająco. Założyła ręce na piersi, ale tylko na chwilę, bo oddał jej

pusty kubek.

- Z rozliczeniem nie ma pośpiechu - ciągnął. - Ale jeśli tak się pani upiera, to przyślę rachunek pocztą.

- Uśmiechnął się. - Dziękuję za herbatę. - Odwrócił się do niej plecami i pochylił nad jakąś sporą rośliną o obwisłych liściach.

- Nie ma pośpiechu? - zachnęła się. - Ja jednak będę nalegała, żebyśmy porozmawiali o pieniądzach tu i teraz. Wyprostował się i spojrzał na nią.

- No dobrze. Pomyślałem sobie tylko, pani Thornton, że niedawno się pani wprowadziła i potrzebowałaby może trochę więcej czasu na aklimatyzację.

Louise poczuła, jak ściąga jej się twarz.

- Dlaczego jest pan dla mnie taki uprzejmy?

Z miny Bena mogłoby wynikać, że nie rozumie tego pytania. Dobry był w tym udawaniu. Wie, kim ona jest, i pewnie czegoś od niej chce. Może nie pieniędzy, ale czegoś na pewno. Jak wszyscy.

W końcu podrapał się po nosie.

-Bo chcę się zrehabilitować za swoje... zachowanie... tamtego pierwszego dnia. Byłem wtedy zły na kogoś i wyładowałem się na pani. Przepraszam.

A to ci dopiero! Przepraszający mężczyzna! Teraz nie miała już wątpliwości, że nie wolno mu ufać. Za dobrze odegrane, żeby mogło być szczerze.

Postanowiła jednak ciągnąć jeszcze przez chwilę tę grę i sprowokować go do wyłożenia kart na stół.

- No cóż, skoro nie można z panem porozumieć się w kwestii wynagrodzenia, to pozostaje mi wziąć książkę te-

Drogocenna jemiola

199

lefoniczną i poszukać ogrodnika, który nie będzie taki tajemniczy.

Nie przejął się jakoś tą pogroźką i zajął oklapniętą rośliną. Po paru sekundach spojrzał jednak na nią.

- Jak pani chce.

Louise znowu poczuła się ignorowana. Jak on śmie? To jej ogród, jej szklarnia. To z jej roślinami tak się cacka.

- Proszę mi przynajmniej dać swoją wizytówkę. - Była to żalosna próba przejęcia inicjatywy, zmuszenia go, żeby czymś się zdradził, ale tylko to przychodziło jej do głowy.

Obmacał kieszenie.

- Chyba mam jakąś przy sobie... zaraz! - Wyjął portfel z tylnej kieszeni dżinsów i zaczął w nim gmerać. Wizytówka, którą w końcu znalazł, była pozałamywana i wystrzępiona po brzegach. Wzięła ją od niego i cofnęła się.

„Krajobrazy Olivera”, przeczytała. Bardzo dostojnie jak na jednoosobową firmę.

- Jeśli nie chce pani, żebym więcej przychodził, proszę się nie krępować i powiedziec mi to wprost, bo jak tego od pani nie usłyszę, to założę, że wszystko zostaje po staremu, i w następną niedzielę znowu się tu zjawię.

Tym razem nie odwrócił się, by kontynuować to, co przerwał; patrzył na nią. Ale nie z ledwie skrywanym zaciekawieniem, zazdrością czy uwielbieniem. Do tych reakcji przywykła. Nie, to było coś innego. On przewiercał ją wzrokiem na wskroś.

Nie wiedziała, jak się zachować.

- To niech się pan zjawia - bąknęła i uciekła, zostawiając swój kubek z ostygłą herbatą w cieniu zmarniałego fikusa.

Fiona Harper

Chociaż pogoda była pod psem, a ją czekała za chwilę przeprawa maleńkim promem przez wzburzoną rzekę, Louise, wysiadając z samochodu, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Widziała stąd cel, do którego zmierzali: miasteczko Lower Hadwell na drugim brzegu, oddalone o kilka minut.

Otworzyły się tylne drzwi i Jack też wysiadł, zapinając pod szyją kurtkę nowego szkolnego mundurka. Był wysoki jak na swój wiek i podobny do ojca. Wszystkie dziewczynki z Jego poprzedniej szkoły płakały przez cały tydzień, kiedy oznajmił im, że się przeprowadza.

-Gotów?

Jack kiwnął głową i przycisnął do piersi tornister z podręcznikami. Był taki dzielny. Pierwsze dni w nowej szkole są trudne dla każdego dziecka, ale Jack miał stawić czoło dodatkowym wyzwaniom.

Rozmawiała już o tym z dyrektorką i ustaliły, że Jack będzie traktowany jak każdy inny uczeń.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

O tej porze poranka przez rzekę kursowały regularnie promy. Podeszli na skraj wysokiego kamiennego nabrzeża i czekali, aż mała drewniana łódź pomalowana na niebiesko i białą przybije do omszałych schodków.

Przewoźnik, nawet na nich nie spoglądając, pobrał opłatę za kurs i Louise odetchnęła z ulgą. Lower Hadwell było małą miejsciną i zapewne wszyscy już tam wiedzą, że osiedliła się w okolicy. Miała nadzieję, że zareagowali tak samo jak ten facet, czyli że mało ich to obeszło. Z tą błogą myślą usiadła na drewnianej ławce obiegającej półkolem rufę łodzi i wystawiła twarz na porywisty wiatr.

Kiedy przybijali do nabrzeża po drugiej stronie rzeki, była przekonana, że we włosach ma z kilo soli nawiewanej przez

Drogocenna jemiola

201

wiatr od morza. Mniejsza z tym. Z rozmysłem ubrała się w dres i włożyła baseballówkę, dzięki temu lepiej się wtopi w tłum mam przed bramą szkoły.

Jack określił przeprawę jako „fajną” i wyskoczył na brzeg. Louise wydostanie się z łódki na ląd nie przyszło tak łatwo.

Szkoła stała na szczycie najbardziej chyba stromego wzgórza w całym południowym Devonie. Boże kochany! Louise omdlewały już łydki. Wspinali się pod wiatr, mijając po drodze pub, domki pomalowane na kremowo i różowo, parę sklepików. Kiedy spoceni i zdyszani skręcali w bramę prowadzącą na teren szkoły, zza zaparkowanego przy krawężniku samochodu wyskoczył jakiś mężczyzna z aparatem fotograficznym. Błysnął flesz.

Louise chwyciła wystraszonego Jacka za rękę i wpadli oboje biegiem do szkolnego budynku.

Jack płakał i tulił się do niej. Poglaskała go po głowie. Teraz była już nie na żarty rozwścieczona.

Niech sobie polują na nią i na Tobyego, ale od Jacka wara.

Kiedy uspokoi już synka i przekaże go nauczycielce, wyjdzie stąd, odszuka tego fotografa i wepchnie mu jego kamerę w gardło tak głęboko, że przez miesiąc będzie się krztusił okruchami swojej karty pamięci.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ben szedł zamyślony ulicą. W witrynie agencji nieruchomości widział przed chwilą fotografię wystawionego na sprzedaż domu Wilkinsonów. Od wielu lat marzyli z Megan o jego kupnie. Czy przy obecnych dochodach minus alimenty, które płaci Megan, byłoby go na niego stać? Całkiem możliwe.

Minął go jakiś zasapany gość w obszernej kurtce, z aparatem fotograficznym w ręku i dzikością w oczach.

Ben wzruszył ramionami. Trochę za późno jak na sezon obserwacji ptaków, ale co on tam wie? Globalne ocieplenie wywiera dziwaczny wpływ na przyrodę w tych stronach. W zeszłym roku sztorm zniósł nad południowe wybrzeże Anglii jakiegoś dziwnie wyglądającego ptaka widywanego dotąd tylko na wyspach Szkocji. Miejscowi miłośnicy ptaków oszaleli na jego punkcie.

Ten człowiek miał w oczach to samo szaleństwo. Ale pal licha zapóźnionych ornitologów, sam się zaraz spóźni na umówione spotkanie, a musi jeszcze wstąpić do saloniku prasowego po poranną gazetę.

Jednak pani Green, od trzydziestu lat właścicielka saloniku i dystrybutorka miejscowych plotek, była tego dnia w nastroju do pogawędki, toteż Ben, chcąc nie chcąc, zabawił w saloniku dłużej, niż zamierzał.

Drogocenna jemiola

203

- Słyszałam, panie Oliver - zagaiła pani Green, zakładając ręce na obfitym biuście - że jakaś kolejna celebrytka kupiła Whitehaven. I co pan na to?

Przymrużyła oczy i analizowała jego reakcję. Starał się jak mógł nie okazywać żadnej. Ale musiał się chyba czymś zdradzić, bo pani Green dorzuciła:

- No tak, spodziewałam się, że to dla pana żadna nowina, był pan przecież w bliskich stosunkach z Laurą Hastings i w ogóle.

- Właściwie to tylko pomagałem w ogrodzie - sprostował.

- Tak, ale wiedział pan zawczasu, że posiadłość została sprzedana, dobrze mówię?

- Niezupełnie - mruknął, zastanawiając się, dlaczego nie przyznaje się do znajomości z Louise Thornton.

Może dlatego, że sam był przed kilkoma laty obiektem lokalnych plotek i zdawał sobie sprawę, jakie to może być nieprzyjemne i uciążliwe.

- No nic, kto bądź to jest... - pani Green odchyliła się w tył i spojrzała na niego wzdłuż nosa; poczuł się jak próbka czegoś na szkiełku pod mikroskopem - .. lepiej nie mógł trafić. Było nie było, my, mieszkańcy Lower Hadwell, jesteśmy zwyczajni takich sąsiadów. Przez dwadzieścia lat mieszkaliśmy przez rzekę z tą legendą Hollywoodu, dobrze mówię?

Kiwnął głową i po raz któryś z rzędu spróbował wcisnąć jej w garść należność za gazetę, ale pani Green jeszcze z nim nie skończyła. Zamiast przyjąć pieniądze, wskazała na stelaż z czasopismami zasłonięty do połowy wysoką półką z karmą dla zwierząt i artykułami papierniczymi.

- Przyszedł właśnie ten magazyn, na który czeka pańska Jasmine. Weźmie pan?

Fiona Harper

Ben zacisnął usta. Schował monety z powrotem do kieszeni kurtki i podszedł do stelaża, gdzie przed wzrokiem pani Green zasłoniły go pudełka z kopertami zajmujące najwyższą półkę.

Zaraz, zaraz, ten magazyn, który czyta Jasmine, to „Pink!” czy „Girl Chat”? Do tego pierwszego dołączony był upominek w postaci szminki. Coś się tu nie zgadza. Zdecydował się na drugi. W tym momencie drzwi sklepiku otworzyły się i do środka wdarł się podmuch zimnego powietrza. Ktoś zatrzasnął je szybko za sobą i w mgnieniu oka znalazł się za półką obok Bena.

- Louise?

Nasunęła głębiej na oczy baseballówkę, którą miała na głowie, i ugięła nogi w kolanach.

- Ciii! - syknęła głośno, nie spoglądając na niego. Nagle zamarła, a potem odwróciła powoli głowę. - Ben?

Milczał. Nie widział potrzeby potwierdzania swojej tożsamości.

- W garniturze? - wykrztusiła, zapominając o znizeniu głosu.

Ulką przebiegł nawiedzony ornitolog. Louise też go pewnie zauważyła, bo przywarła do półki, zrzucając z niej pudełko z długopisami.

- Widział mnie? - wysyczała do Bena.

Ben, siląc się na spokój, wyjrzał przez okno, ale było zalepione obwieszczeniami o miejscowych imprezach, zdjęciami rowerów na sprzedaż, ofertami pracy dla gazeciarzy, i niewiele przez nie zobaczył.

- Chyba go nie ma.

Louise przysunęła się trochę bliżej i wyciągnęła szyję.

- Na pewno?

Drogocenna jemiola

205

Kiwnął głową.

- Przebiegał tędy dosyć szybko. A na takiej stromiznie trudno wyhamować. Czym tak panią zdenerwował...

No przecież. Jas na jego miejscu klepnęłaby się w czoło i zawołała: „Mam!” Paparazzi. Kogo jak kogo, ale tych jeszcze w Lower Hadwell nie było.

- Nie mogła pani dać mu się sfotografować i do widzenia? - Takie rozwiązanie problemu wydawało mu się zupełnie rozsądne.

Louise spojrzała na niego tak, jakby proponował jej pozowanie nago do sesji zdjęciowej na nabrzeżu - przy trzaskającym mrozie.

- Jestem na niego taka wściekła, że mogłabym mu zrobić krzywdę. Śmiertelnie przestraszył Jacka, kiedy wchodziliśmy do szkoły.

Jej synek tu jest? To dobrze. Może kobieta trochę odżyje. Odetchnęła głęboko, już spokojniejsza, otarła twarz dłonią i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- A pan jest w garniturze. Bardzo ładny.

- Już to pani mówiła.

- Nie pobrudzi się?

- Bez obawy.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Niech pan przestanie udawać, że nie rozumie.

- Wiem, że pani zdaniem nadaję się tylko do pielienia grządek, ale właściwie z zawodu nie jestem ogrodnikiem. W każdym razie nie w powszechnym rozumieniu tego słowa.

Louise zrobiła wielkie oczy. Jej zdumiona mina nie wiedzieć czemu sprawiła mu satysfakcję.

- Jestem architektem krajobrazu. Projektuję tereny zie-

Fiona Harper

lone: centra miast, otwarte przestrzenie, parki, otoczenie prywatnych domów. Idę właśnie na spotkanie z lordem Batterhamem, właścicielem wielkiej rezydencji tu niedaleko. Chce, żebym przywrócił dawną świetność jego parkowi i zaprojektował przyjazny środowisku teren rekreacyjny dla gości.

Mrugnęła powiekami raz i drugi, przestąpiła z nogi na nogę. –Ooo!

Chyba upomniała już o fotografii.

- Pani też prezentuje się dzisiaj trochę inaczej - zauważył,

- Lepiej nie mówić - mruknęła.

Przyjrzał jej się ponownie. Różowy dres, tenisówki, baseballówka, bez makijażu, policzki zaróżowione jeszcze z gniewu. Nawet do twarzy jej było w tym niezobowiązującym wydaniu. Nie robiła teraz wrażenia takiej nieprzystępnej... niedotykanej.

Cofnął się o krok.

- Całkiem dobrze się pani prezentuje. Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego ze znużeniem.

- To w końcu jak się prezentuję? „Całkiem dobrze” czy „inaczej”, bo to różnica?

- No... korzystnie...

Tak trzymać, Ben. Brnij dalej.

Widząc jego zakłopotanie, roześmiała się.

Była prawdziwie piękna, kiedy się uśmiechała. Oczy jej się skrzyły, skóra pałała. Skąd u niej to przekonanie, że czerń podkreśla jej urodę? Szkoda, że nie ma tutaj teraz tamtego fotografa, żeby uwiecznił ten wspaniały moment.

Z tą myślą podszedł do okna i wyjrzał.

Drogocenna jemiola

207

- Ani śladu faceta - powiedział. - Chyba może już pani bezpiecznie stąd wyjść.

Louise ściągnęła na moment brwi, ale zaraz znowu się rozpogodziła.

- Wierzę na słowo - powiedziała i zaczęła zbierać z podłogi rozsypane długopisy. Skończywszy, uśmiechnęła się do niego. - Czyli widzimy się w niedzielę?

Kiwnął głową.

- Obiecuje, że nie każę panu pielić rabatek, skoro to uwłacza pańskiej godności.

- Od lat mnie korci, żeby doprowadzić ten ogród do porządku. Niech mi pani da wolną rękę, zgoda?

Kiwnęła głową.

- Uprzedzam, że dokumentnie zryję pani ziemię i wypiję całą herbatę.

Uśmiechnęła się.

- Umowa stoi, panie Architekcie Krajobrazu. - Spojrzała na zegarek. - A skoro już o tym mowa, to nie wspominał pan czasem, że jest z kimś umówiony?

Lord Batterham!

Podbiegł do lady, żeby zapłacić za gazetę. Pani Green trzymała w rękach jakiś kolorowy magazyn i oglądała okładkę. Potem przeniosła wzrok na Louise i z Louise z powrotem na okładkę, zupełnie jakby rozgrywała jakiś mentalny mecz tenisowy.

Po raz pierwszy od trzydziestu trzech lat milczała. Ben położył przed nią drobne, wziął Louise za rękę i wybiegli ze sklepu.

- Mamo? Możemy wyjść na dwór? Już nie pada. Wyrwana z zamyślenia Louise zamrugała.

Fiona Harper

- Czy co możemy?

Jack podbiegł do drzwi i otworzył je, wpuszczając do kuchni podmuch wilgotnego listopadowego powietrza.

Podeszła do niego i wyjrzała. Liście krzewów na małym podwórku przed kuchnią ociekały jeszcze wilgocią, ale chmury były już jasne, perłowszare, i wydało jej się nawet, że dostrzegła między nimi skrawek błękitu.

świeże powietrze dobrze by jej zrobiło, skróciło czas oczekiwania. Dlaczego on się spóźnia?

Pokręciła głową i sięgnęła po szalik i czapkę wiszące na kołku obok drzwi. Trawnik przed domem był jeszcze wilgotny, ale według Jacka nadawał się znakomicie do gry w nogę. Do wyznaczenia umownych bramek posłużyły im cztery duże kamienie.

W szkole nigdy nie była dobra z wychowania fizycznego. Przyczyniało się do tego wieczne zmęczenie rolą zastępczej matki dla czwórki braci i siostr, a do tego opiekunki niepełnosprawnego ojca.

Zaczęli mecz. Jack obiegnął ją z piłką kilka razy w kółko, a potem złożył się do strzału. Piłka poleciała w jej stronę. Chciała ją odkopnąć, ale skiksowała, pośliznęła się na mokrej trawie i upadła ciężko na pupę. Jack zrywał boki ze śmiechu.

- Czekał ty, czekał! - zawołała, też chichocząc pod nosem, ale, kiedy spróbowała wstać, poczuła ból. - Auuu!

- Proszę dać mi rękę.

Rozpoznała natychmiast ten głos. Poznała również dużą dłoń o długich palcach, która wsunęła się w jej pole widzenia. Coś takiego! Nie zdawała sobie sprawy, że zapamiętała kształt dłoni Bena Olivera. Ścisnął jej rękę tak mocno, że bez obawy powierzyła mu

Drogocenna jemiola

209

cały ciężar swego ciała, pewna, że jej nie puści. Skrzywiła się z bólu, kiedy pomagał jej wstać. -Au...

- Gdzie panią boli?

Wolała nie ściągać bez wyraźnej potrzeby jego uwagi na swoją trochę-za-szeroką-niż-to-było-w-planach i ubłoconą tylną część ciała.

- A jak pan myśli?

- Mam obejrzeć?

- Nie! - Wyrwała mu rękę i otrzepała się, bardziej dla pokrycia zażenowania niż z rzeczywistej potrzeby. - Że prawie ogrodnik z pana, już wiem, ale proszę mi nie wmawiać, że na dodatek prawie lekarz, bo i tak nie uwierzę.

Roześmiał się. Spojrzała na niego z irytacją i dopiero teraz zauważyła stojącą za nim kilkunastoletnią dziewczynkę. Miała długie do ramion włosy koloru miodu i oczy ojca.

Ben chwycił córkę za rękę i przyciągnął bliżej. Zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Louise, chciałem pani przedstawić moją córkę, Jasmine.

- Miło mi cię poznać, Jasmine. Ja mam na imię Louise. Twój tato pomaga mi w ogrodzie.

- Wiem - szepnęła Jasmine i spąsowiała jeszcze bardziej.

Jej ojciec mógł się nie orientować, z kim ma do czynienia, kiedy się poznali, ale Jasmine to wiedziała.

Louise знаła ten rodzaj reakcji. Sama się tak zachowywała na początku znajomości z Tobym, kiedy ten przedstawiał ją jakiejś sławnej hollywoodzkiej aktorce.

- Chodź, poznam cię z moim synkiem, Jackiem. Ale mu-

Fiona Harper

sze cię z góry uprzedzić, że ma bzika na punkcie piłki nożnej.

Jasmine kiwnęła głową i ruszyła z nią przez trawnik. Ben zamykał pochód. Z miny Jacka Louise wyczytała, że Jasmine od pierwszego wejrzenia przypadła mu do gustu.

- Mamy w domu czekoladowy torcik - powiedział bez wstępów, podnosząc futbolówkę. - Chcesz? Jasmine pokiwała ochoczo głową i pobiegli oboje w kierunku kuchennych drzwi.

Ben i Louise ruszyli statecznie za swoimi pociechami.

- Przepraszam, ale musiałem zabrać Jas ze sobą. Mam nadzieję, że nie ma mi pani tego za złe.

- Skądże znowu. Za kogo pan mnie bierze? Za złą wiedźmę z bagien?

Uśmiechnął się.

- Czasami potrafi pani pokazać pazurki.

Ona? Naprawdę? Rozważała przez chwilę tę uwagę. Co się stała z tamtą zahukaną słodką Louise, którą kiedyś była? Gdzie się podziała tamta niezgrabna dziewczynka o za długich kończynach, w przykrótkim szkolnym blezerze?

- Gdyby pan naprawdę się mnie bał, toby tu nie przychodził - powiedziała cicho.

Ben znowu się roześmiał, ale zaraz spoważniał.

- Wcale nie zamierzałem zjawiać się tu z Jas. Tak się jednak złożyło, że... - przeczesał palcami włosy

- ...to skomplikowana sprawa.

- Proszę mi zaufać. Skomplikowane sprawy to moja specjalność. Co się stało?

Ben zatrzymał się i patrzył przez kilka sekund w przestrzeń. Ona też przystanąła.

- Moja była żona, Megan... - Zawiesił na moment głos.

Drogocenna jemiola

211

- Megan jest w zasadzie dobrą matką, ale ostatnio poprzestawiały jej się trochę priorytety. Louise kiwnęła głową.

- Uznała chyba, że teraz, kiedy Jasmine jest już duża, pora zająć się sobą. I nie miałbym jej tego za złe, tylko że rozwiedliśmy się niedawno i Jas czuje się chyba odtrącana. Niedzielne popołudnie miały spędzić razem, ale Megan wypadło coś w ostatniej chwili i odwołała to spotkanie. Myślę, że nie zdaje sobie nawet sprawy, jak niepotrzebna czuje się czasami Jas.

- Jak dawno się rozwiedliście?

- Dwa lata temu.

- Od mojego rozwodu upłynęły dopiero dwa miesiące. Z tym, że już jakiś rok temu go pogoniłam. - Louise westchnęła. - Dziewczynki w tym wieku potrzebują matki.

Jej mama umarła, kiedy ona wchodziła dopiero w okres dojrzewania, i musiała dawać sobie radę bez niej. Gdyby mama żyła, nie dopuściłaby może, żeby Toby aż tak ją omotał. Na początku Toby nawet ją kochał, ale nie był partnerem na dłuższą metę. Matczyna rada bardzo by jej się wtedy przydała.

- Zapewniam pana, że Jas jest tutaj mile widziana. W pełni rozumiem sytuację.

- Dziękuję - mruknął Ben. - No, ale my tu sobie gawędzimy, a niedługo zacznie się ściemniać. Lepiej wezmę się już do pracy.

Jack zaczął wykrzykiwać swoje pytanie, biegnąc w samych skarpetkach korytarzem, a skończył już w kuchni.

- Jas mówi, że dziś wieczorem będą puszczały sztuczne ognie! Pójdziemy?!

Sztuczne ognie? Ach, rzeczywiście. Od wprowadzenia

Fiona Harper

się do Whitehaven czas jakoś inaczej jej upływał. Którego to dzisiaj mamy? Drugiego czy trzeciego listopada? Jeszcze tylko parę dni do nocy Guya Fawkesa i w ten weekend w okolicy urządzane są z tej okazji ogniska i pokazy ogni sztucznych. Słyszała poprzedniego wieczoru jakąś odległą kanonadę, ale myślała, że to strzały na wiwat, teraz rzecz się wyjaśniła.

- Nie wiem, Jack. O której? I gdzie?

- Zapytam Jas! - Wypadł z kuchni, zanim zdążyła mu spokojnie wyjaśnić, że pokazywanie się publicznie nie jest może najlepszym pomysłem i że może Oliverowie nie życzą sobie ich towarzystwa. Zresztą aby zobaczyć fajerwerki, nie muszą wcale ruszać się z domu. Whitehaven jest położone na wzgórzu i z okna na poddaszu będą widzieli wszystko jak na dłoni.

Ben zapukał do kuchennych drzwi i nie doczekawszy się reakcji, nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się cicho.

- Halo?

Louise stała przy starym zlewie zapatrzona w okno. Słyszał szum lejącej się z kranu wody. Po chwili odstawiła na ślepo umyty kubek na suszarkę. Kubek się przewrócił. Nawet na niego nie spojrzała. Sięgnęła po następne naczynie i zaczęła je myć.

Ben odchrząknął.

Szum wody ustał. Louise nie obejrzała się, ale wyczuł, że już nie patrzy w przestrzeń. Po chwili odwróciła się.

- Skończone? Kiwnął głową.

Louise napełniła wodą czajnik, wskazała mu krzesło przy stole, otworzyła szafkę i wyjęła kubek. Nie odzywała się, on

Drogocenna jemiola

213

też milczał. Kiedy stawiała przed nim kubek z herbatą, do kuchni wpadły dzieci.

- Mamo, głodny jestem! - krzyknął od progu Jack.

- Ty zawsze jesteś głodny - zauważyła Louise.

- Dasz nam po kawałku ciasta? Proooszę. Przecież mamy gości.

Louise przewróciła oczami i wyjęła z kredensu wielkie pudło. Kiedy zdjęła wieko, po kuchni róższedł się aromat syropu i orzechów, który skojarzył się Benowi z listopadowymi wieczorami przy kominku. Ślina napłynęła mu do ust. Zatopił zęby w soczystym cieście i omal nie jęknął z rozkoszy. Poprosiłby o dokładkę, ale czy to wypada? Zerknął na Jacka wyjadającego z talerzyka okruszki. No, ten chyba na pewno poprosi. A on skorzysta wtedy z okazji i też podsunie swój talerzyk.

- Mamo, to pójdziemy na te sztuczne ognie? Proooszę? Louise ku rozczarowaniu Bena nałożyła wieko na pudełko z ciastem.

- Nie wiem, Jack. Pomyślałam sobie, że możemy przecież popatrzeć na nie z poddasza.

Jack zacisnął usta.

- Jas mówi, że na rynku będą sprzedawali hot dogi. Zjadłbym hot dog.

Louise pokręciła głową.

- Wierzę ci, kochanie. Ale po naszej przygodzie z tamtym fotografem... lepiej zostańmy w domu.

Tutaj nikt nas nie będzie napastował.

Jack zmarkotniał, z miny Louise wynikało, że też jest jej przykro. Ben bardzo chciałby im pomóc, ale nic mu nie przychodziło do głowy. To skandal, żeby matka nie mogła pójść spokojnie z synem na pokaz sztucznych ogni, bo obawia się

214

Fiona Harper

ludzi, którzy za nic sobie mają prawo do prywatności. Jak tak dalej pójdzie, Louise zostanie pustelnicą.

Błądząc wzrokiem po ścianie naprzeciwko, gorączkowo szukał jakiegoś rozwiązania. Jego uwagę przykuły w pewnej chwili kołki na czapki, kurtki i szaliki przy drzwiach kuchennych. Wstał.

- Mam pomysł.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pozostała trójka przerwała rozmowę i spojrzała na niego. Uśmiechnął się, podszedł do rzędu kołków, ściągnął z jednego czerwoną, puszystą, wełnianą czapkę i szalik od kompletu i wrócił z nimi do Louise.

- Chodźmy - powiedział, biorąc ją za rękę i wyprowadzając na korytarz, gdzie wisiało wielkie lustro. Zatrzymali się przed nim, a Ben naciągnął jej czapkę na głowę po same brwi.

Lepiej, ale nadal można w niej rozpoznać Louise Thornton. Przyjrzał się krytycznie jej odbiciu.

Włosy. Zdradzały ją te długie, lśniące, ciemne włosy. To jej znak firmowy.

Zebrał je do tyłu i zaplótł w luźny warkocz. Zerknął znowu w lustro. Louise przez chwilę patrzyła z rozchyłonymi wargami w lustro, a potem wzdrygnęła się i straciła jego dłonie ze swoich ramion.

Przerwał kontakt wzrokowy i owinał jej szyję szalikiem raz, drugi i trzeci, podciągając go następnie tak, by zakrywał połowę twarzy.

Jego dłonie powróciły na jej ramiona pod pozorem powstrzymania szalika przed zsuwaniem.

Teraz zdradzały ją tylko oczy, ale z tym już nic nie da się zrobić. Bo przecież nie włoży okularów przeciwsłonecznych w zimny jesienny wieczór. Dopiero ściągnęłyby na siebie uwagę.

216

Fiona Harper

-No.

- To ma być ten genialny pomysł? - spytała z nutką sceptycyzmu w głosie. - Ubrać mnie w czapkę i szalik?

- Dzięki nim nikt nie rozpozna pani w tłumie. Zresztą będzie prawie zupełnie ciemno. Włoży pani jeszcze jakąś obszerną ciemną kurtkę i w takim kamuflażu niczym się nie będzie wyróżniała.

- Ja i bez kamuflażu niczym się nie wyróżniam.

Ben wiedział, że celebryci nie są żadną wyjątkową rasą ludzką, a więc skłonny był nawet się z nią zgodzić. Ale Louise Thornton miała w sobie coś, co temu przeczyło, co czyniło ją niepodobną do nikogo, jedyną w swoim rodzaju. I to nie dlatego, że była sławna.

Przez dłuższy czas przyglądali się sobie w lustrze. Jej ramiona wznosiły się i opadały pod jego dłońmi.

- Mamo, patrz!

Odsunął się od niej szybko. Na korytarz wybiegli w podskokach Jack i Jasmine, ubrani już w kurtki i czapki.

Jack był wysoki jak na swój wiek, Jasmine drobna, co sprawiało, że byli prawie tego samego wzrostu. Dopiero po chwili Ben zorientował się, że Jack wykrzyczał to spod czapki i szalika Jasmine. Louise spojrzała na dzieci i wybuchnęła śmiechem. Podciągnęła puszystą czapkę z nausznikami za pompon na czubku, by odsłonić synkowi oczy.

- Gdybyś tak nie wrzasnął, nie zauważyłabym nawet, że zamieniliście się kurtkami!

Jack podskoczył w miejscu.

- To co, idziemy? Idziemy? Louise przewróciła oczami.

- No dobrze, chodźmy.

Chóralny okrzyk radości poniósł się korytarzem i wspiął

Drogocenna jemiola

217

na górę po schodach. Ścigał go tupot nóg dzieci wracających biegiem do kuchni.

- Ale zamieńcie się z powrotem kurtkami i czapkami! -zawołała za nimi Louise.

- Kiedy zaczyna się ten pokaz sztucznych ogni? - Louise spojrzała w lewo, potem w prawo i mocniej zacisnęła dłonie na linie rozciągniętej między pordzewiałymi metalowymi słupkami.

Błonia miasteczka Lower Hadwell rozciągały się nad brzegiem, kawałek w górę rzeki od przystani, i tam, na kamienistej plaży, wyznaczono stanowisko odpalania fajerwerków, ogradzając je linami, żeby podniecone dzieci zbyt nie zbliżały.

- Za dwadzieścia minut - poinformował ją Ben. - Spokojnie.

Podskoczyła przestraszona, kiedy jego dłoń dotknęła delikatnie jej ramienia.

Spokojnie! Łatwo mu mówić. Przed nim nikt nie wyrasta jak spod ziemi w najmniej spodziewanym momencie, żeby błysnąć fleszem w oczy. Od paru lat przestała rozbierać mur, którym odgrodziła się od reszty świata. Życie niesie zbyt wiele niebezpieczeństw, by tak się odsłaniać.

Westchnęła i uśmiechnęła się, patrząc, jak para jej oddechu miesza się z dymem z ognisk.

Jej rodzina - a właściwie to, co z niej zostało po śmierci mamy - zawsze uczestniczyła w listopadowych pokazach ogni sztucznych w miejscowym parku. Wspominała to teraz z sentymentem.

Potem poznała Tybyego i wszystko się zmieniło.

Jako najstarsza z piątki rodzeństwa zmuszona była przejąć

Fiona Harper

obowiązki matki, bo na niepełnosprawnego ojca nie miała co liczyć. Przerastała ją ta rola. Piętrzyły się przed nią przeszkody, których nie była w stanie pokonać. Była współczesnym Kopciuszkiem - tyle że opiekującym się zgodną i kochającą się rodziną. Stała się kucharką, sprzątaczką, praczką, spowiedniczką, rozjemczynią...

Ale wieczny brak pieniędzy i splendoru nadrabiali miłością...

- Mamo? Kupisz mi hot doga?

Louise spojrzała na ciągnącego ją za rękę Jacka.

- Coś mówiłeś, kochanie?

- Głodny jestem. Kupisz mi hot doga?

Jej zmysły połechtali mile zapach cebuli, przypraw i mięsa smażącego się na prowizorycznym grillu po drugiej stronie nadrzecznej łąki. Nos powiedział jej, że to nie zwyczajne hot dogi z cienką parówką wetkniętą w podłużną bułeczkę, lecz grube, soczyste miejscowe kiełbaski rozsadzające skórkę i ogrzewające pajdy białego chleba, między którymi się je trzyma. Ślina napłynęła jej do ust.

- Przestań tak szarpać, Jack, bo mi rękę urwiesz! Daj mi się zastanowić!

Tutaj, w tłumie, jest bezpieczna. Nikt nie widzi jej twarzy oświeconej tylko w połowie przez ognisko po lewej. A tam, przy grillu, buczał agregat prądotwórczy zasilający dwa silne reflektory. Otoczenie skąpane w ich blasku przypominało jej wybieg dla modelek.

-Hm...

- Może lepiej ja skoczę z wami po te hot dogi, a mama niech nam tu popilnuje miejsca, co? -

zapropozował Ben, biorąc Jacka za rękę i spoglądając pytająco na Louise. - Chyba że ma pani coś przeciwko temu...

Drogocenna jemiola

219

Uśmiechnęła się z ulgą i kiwnęła głową.

- Dziękuję - powiedziała.

Dopiero kiedy Ben i dzieci zniknęli jej z oczu w tłumie, uświadomiła sobie, że nie poprosiła ich, żeby jej też kupili hot doga. Chciała ich zawołać, ale rozmyśliła się i naciągnęła czapkę na oczy. Za wiele spojrzeń.

Od jakiegoś czasu drażnił ją ten natłok twarzy. Dawniej, na samym początku, ten aspekt życia na świeczniku u boku Tobyego bardzo jej imponował, bo wcześniej mało kto zwracał na nią uwagę.

Jakież było jej zaskoczenie, kiedy pewnego sobotniego popołudnia w supermarkecie, gdzie pracowała w kasie, podszedł do niej łowca talentów z agencji modelek. Kilka tygodni później latała już samolotami po całej Europie na sesje zdjęciowe, uczestniczyła w oficjalnych przyjęciach, poznawała sławnych ludzi - między nimi był Tobias Thornton, wschodząca gwiazda i pupil brytyjskiego przemysłu filmowego. Jej rodzina miała wreszcie co do garnka włożyć, przeprowadziła się do nowego domu, w którym każdy miał swój pokój, a tatą opiekowała się zatrudniona na pełny etat pielęgniarka. I to ta pielęgniarka była przy tacie, kiedy umierał pół roku po tym, jak ona i Toby wzięli ślub na prywatnej wyspie na Karaibach.

Łzy napłynęły Louise do oczu i ognisko zmieniło się w wielką pomarańczową plamę. Wpatrywała się w nią, dopóki nie zaczęła się znowu wyostrzać i nabierać kształtów. Powoli docierał do niej gwar rozmów. Potrącano ją, ale nie reagowała. Dopiero słysząc śmiech Jacka, otrząsnęła się z tego odrętwienia i uświadomiła sobie, że wrócili.

- Pani to mi wygląda na głodną - zauważył wesoło Ben. Trzymał w ręku wielką bułę, z której wystawała soczysta kieł-

Fiona Harper

baska ociekająca keczupem. - Oczywiście słyszałem, że modelki takich rzeczy nie jedzą, jestem więc gotów się poświęcić i skonsumować jeszcze jednego.

- Byłe modelki jedzą - powiedziała, wyrywając mu hot doga z dłoni i odgryzając solidny kęs.

Ben odrzucił w tył głowę i roześmiał się. Ona, kiedy już połknęła odgryziony kęs, zrobiła to samo.

- Mamo? Z czego się śmiejesz?

Louise, nie przerywając kontaktu wzrokowego z Benem, pokręciła głową.

- Nie wiem, Jack. Tak sobie...

Ben wciąż się uśmiechał, ale jego oczy nie brały w tym udziału. Była w nich jakaś intensywność, coś, co ją przyciągało i przerażało zarazem.

Wypuściła powietrze z płuc i przeniosła uwagę z powrotem na hot doga, co nie było trudne.

Zaczął się pokaz ogni sztucznych. W atramentową czerń nocy tryskały fontanny światła - białego, czerwonego, zielonego, niebieskiego i złotego - odbijając się w rzece. Efekt był oszałamiający.

Magiczny. Louise krzyczała ze wszystkimi „oooch” i „aaach” i klaskała w dłonie, obserwując reakcję Jacka.

Ostatni fajerwerk strzelił z sykiem w nocne niebo, a ona mogłaby przysiąc że w jego blasku dostrzegła na moment swój wielki biały dom na drugim brzegu. Fajerwerk eksplodował tysiącem gwiazd, które opadły z gracją na ziemię. Westchnęła i zamknęła oczy.

- Chodźmy... - Na ramieniu jej grubej wełnianej kurtki spoczęła znowu dłoń Bena. - Odstawię was do domu.

Jack, któremu o tej porze powinny się już kleić oczy, podskoczył podekscytowany.

Drogocenna jemiola

221

- Popłyniemy znowu pontonem?

- To nie ponton, tylko dinghy - poprawiła go Jas. Jack spojrział na nią obruszony.

- Przecież wiem. Ben pokręcił głową.

- Nie, pojedziemy samochodem - powiedział, a zwracając się do Louise, która otwierała już usta, by zaprotestować, dorzucił: - Po ciemku lepiej nie ryzykować przeprawy łodzią z dziećmi.

Poszli do zaparkowanego pod drzewami samochodu Bena. Louise posadziła Jacka na tylnej kanapie i zapinając mu pas bezpieczeństwa, nagle znieruchomiała. Przecież nie mogą wrócić do Whitehaven tą samą trasą i Ben z pewnością zdaje sobie z tego sprawę. Zajęła miejsce w fotelu pasażera i nie spoglądając na niego, zapięła pas.

Niedługo potem pędzili już w milczeniu przez bezludną okolicę. Było ciemno choć oko wykol. Gdyby nie złote gałązki i zarośla wyławiane z mroku przez światła reflektorów, można by pomyśleć, że znaleźli się sami, odcięci od świata, w wielkim czarnym bąblu.

Louise nadal się nie odzywała. Co jakiś czas zerknęła spod oka na Bena. Jego dłonie spoczywały luźno na kierownicy, ale nie ulegało wątpliwości, że zachowuje pełną kontrolę. Że koncentruje się na obserwowaniu drogi przed nimi.

Splotła na podołku drżące dłonie.

Coś przemknęło przez drogę. Ben odruchowo zahamował. Dziecięce przekomarzenia i chichoty na tylnej kanapie urwały się jak nożem uciął.

- W porządku - powiedział, siląc się na swobodny ton,

Fiona Harper

choć serce waliło mu jak młotem. - Ty tylko królik... Pewnie kica już pod górkę po tamtej stronie. Jas i Jack roztrajkotali się znowu, a on wrzucił jedynekę i powoli ruszył.

Głupi królik tak go wytrącił z równowagi? Co z nim? Nie było dnia, żeby jakiś nie wyskoczył mu pod koła i nigdy dotąd tak nie reagował. Dodał gazu. Samochód nabrał prędkości i wkrótce pędzili znowu pustą szosą, tak jakby nic się nie wydarzyło. Ben koncentrował się na prowadzeniu, udając, że nie zna odpowiedzi na pytanie, które sam sobie zadał.

Kiedy skręcał w długi podjazd prowadzący pod same drzwi Whitehaven, milcząca przez całą drogę Louise poprawiła się w fotelu, zupełnie jakby szykowała się do wyskoczenia z samochodu w momencie, gdy koła przestaną się obracać. No i dobrze. Jeśli marzy tylko o tym, żeby jak najszybciej uwolnić się od jego towarzystwa, to wolna droga.

- Mamo, dasz mi kawałek torciku, jak wejdziemy?

Ben, zdejmując nogę z gazu i zatrzymując wóz przed frontowym gankiem, stłumił uśmiech. I nagle stwierdził, że jemu też burczy w brzuchu. Smaczny był ten torcik.

- Jack! Dawno już powinieneś leżeć w łóżku! Wybij sobie z głowy...

- Tort!

Spojrzeni wszyscy na Jas. Dziewczynka oczy miała rozszerzone, dłonią zatykała usta. Rozpłakała się. Ben wysiadł i otworzył tylne drzwiczki.

- Jas? O co chodzi? Dziewczynce drżały wargi.

- O tort. Moja klasa urządza herbatkę dla starszych mieszkańców miasteczka. Mama miała mi pomóc go upiec w ten weekend, ale wyjechała...

Drogocenna jemiola

223

Ben starał się nie okazać po sobie zdenerwowania. Dla niego Megan mogła się szlajać do woli po Timbuktu, ale najpierw niech się wywiąże ze swoich zobowiązań wobec Jas.

- Mam go przynieść we wtorek rano, bo inaczej nie dostanę punktów z prac domowych! - wyszlochała Jas. - Pomożesz, tato?

- Hm... - Bardzo by chciał, ale miał wątpliwości, czy Jas dostałaby jakieś punkty za cokolwiek, co by spróbował upiec.

- Ja ci pomogę.

Spojrzeli z zaskoczeniem na Louise. Z jej twarzy nie dało się nic wyczytać. Czyżby się przesłyszał? Zwrócił się znowu do Jas:

- A sama nie możesz? Pod moim kierunkiem?

Z fotela pasażera dobiegło pogardliwe prychnięcie. Puścił je mimo uszu.

Jas miała minę pod tytułem „koniec świata”, tak typową dla jedenastolatek, które znalazły się w kryzysowej sytuacji.

- No, nie wiem. Nie wychodzi mi jeszcze za dobrze to mieszanie jajek z mąką na samym początku.

- Żółtek z cukrem - powiedziała cicho Louise. Wiedział z autopsji, że ten ton jest zwodniczy.

- No właśnie, żółtek z cukrem. To chciałam powiedzieć - wychlipała zrezygnowana Jas.

Ben westchnął.

- To może kupimy gotowy?

Jas pokręciła głową i znowu się rozplakała.

- Ja pomogę. - Tym razem ton Louise był bardziej zdecydowany.

- Zna się pani na pieczeniu?

Fiona Harper

- A myślicie, że co jedliście przed wyjściem? Szkocką mgłę?

Ben odniósł wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

- Pani sama upiekła ten torcik? - spytał z niedowierzaniem.

Louise wzruszyła ramionami.

- Nie, wróżki zostawiły go na progu.

Jas ocierająca oczy rękawem kurtki nadstawiła ucha.

- A ja myślałam, że kiedy Jackowi potrzebne są do szkoły jakieś wypieki, to idzie pani do Harrodsa i tam je kupuje.

Louise roześmiała się. Był to śmiech zaraźliwy i wkrótce wszyscy zrywali boki. Louise przytrzymała się dla równowagi drzwi samochodu, a piskliwy chichot Jacka świdrował uszy.

- Czasami... - wykrztusiła Louise - ...ale tylko czasami, jak już inaczej się nie dało... kupowałam je u Harrodsa!

Twarz miała wypogodzoną, rozpromienioną, policzki zarumienione i dobrze, że w samochodzie siedziała dwójka dzieci, bo korciło go, by ją pocałować.

- Naprawdę chciałoby się pani? Wiem, jaka pani jest zajęta. Nie będziemy pani obarczać, prawda, Jas? Jas milczała, błagała go tylko oczami.

- Czym zajęta? - Louise uniosła brwi. - Dom i otoczenie praktycznie gotowe. Zostało mi tylko dekorowanie wnętrza. Z miłą chęcią pomogę. Zresztą muszę się jakoś zrewanżować za niezapomniany wieczór, jaki nam pan dzisiaj sprezentował.

Bena aż zatkało. No i ma problem. Swoje tutaj już zrobił i ten dzisiejszy wieczór miał być w jego zamyśle miłym pożegnalnym gestem przed zamknięciem tego rozdziału swo-

Drogocenna jemiola

225

jego życia. A jak go teraz zamknie, skoro ona wprasza mu się na jutro do kuchni?

Louise położyła Jacka do łóżka, ale sama spać się nie wybierała. Nie zasnęłaby. To pewnie ta zmiana klimatu, no bo co innego?

Usiadła w salonie na wielkiej, obitej aksamitem sofie, sięgnęła po pilota i zaczęła przeglądać niezliczone kanały kablówki w poszukiwaniu czegoś interesującego. Na kominku płonął ogień, światła były przyciemnione.

Zaraz, zaraz...

Przerwała przeglądanie i cofnęła się o kilka kanałów. Dobrze jej się wydawało - jakiś stary film dokumentalny, a ta kobieta wsiadająca teraz do samolotu to Laura Hastings. Louise odłożyła pilota i opadła na miękkie poduchy, którymi wyłożone było oparcie sofy.

Straciła pierwszych dwadzieścia minut, ale mimo wszystko postanowiła obejrzeć film do końca. Jakaż piękna była w młodości Laura. Te jasnoblonde włosy, jasna skóra i niebieskie oczy prezentowały się zjawiskowo w przejawiskowym technicolorze z lat pięćdziesiątych.

A jakie burzliwe miała życie. Dwa nieudane małżeństwa, zatuszowany skandal. Louise uśmiechnęła się do siebie. Nie tylko podziwiała poprzednią właścicielkę Whitehaven, ale się też z nią identyfikowała. Czy Laura Hastings pod koniec życia była wreszcie szczęśliwa?

Laura szła przez życie przebojem, wykorzystywała każdą szansę, jaką podsuwał jej los. I tu się różniły. Owszem, ona też wykorzystywała szansę zostania modelką i poślubienia mężczyzny swoich marzeń, ale potem, kiedy sprawy przybrały zły obrót, poddała się bez walki. Stchórzyła.

Fiona Harper

Na ekranie pojawiło się Whitehaven i Louise usiadła prosto. Coś takiego! To był chyba fragment jakiegoś starego czarno-białego filmu. Laura, tutaj już w średnim wieku, ale wciąż piękna, szła przez trawnik, patrząc na rzekę.

Drzewa w parku były, rzecz jasna, niższe, ale mniejsza z tym. Wszystko wyglądało na bardziej... zadbane. Park i dzisiaj zachwycał swoim dzikim, niepospolitym pięknem, ale zatracił harmonię z tamtych lat.

Dom i park mogły sobie wyglądać urokliwie, ale z narracji zza kadru wynikało, że właśnie w tym okresie życia Laury Hastings waliło się w gruzy. Jakieś dziesięć lat wcześniej, na planie filmu kręconego w Whitehaven, zakochała się w aktorze grającym główną rolę.

Wywiązał się burzliwy romans, ale aktor miał już żonę i Laura wyszła w odwecie za innego. Po kilku latach romans znowu odżył i Laura przekonana, że szczęście ma teraz na wyciągnięcie ręki, rozwiodła się z mężem i czekała, aż kochanek pójdzie w jej ślady i też uwolni się od żony.

Czekała na próżno. Miłość jej życia nigdy się na to nie zdecydowała.

Łza potoczyła się po policzku Louise. Wybory Laury może nie zawsze były fortunne, ale podziwiała jej odwagę.

Przez ekran przewinęły się napisy. Następną pozycją w programie był film „Letni romans”, ten kręcony w Whitehaven. Była to historia młodej służącej, która podbiła serce syna bogatego właściciela. W połowie filmu była scena rozgrywająca się na balkonie domku na przystani, w której oboje wyznają sobie miłość. Bohater i bohaterka siedzieli w słońcu przy stoliku nakrytym obrusem w biało-czerwoną kratę i wpatrywali się w siebie z uwielbieniem.

Louise westchnęła. Właśnie tak powinna wyglądać mi-

Drogocenna jemiola

227

łość, pomyślała, zakrywając dłonią usta, by stłumić ziewnięcie: jasna, kolorowa, słoneczna. I jak on na nią patrzy - zupełnie jakby chciał się w nią wwiercić wzrokiem i wejrzeć w duszę. Jakby się chciał w niej zatopić. Taka właśnie powinna być miłość.

Jaka szkoda, że oglądać taką można jedynie w starych filmach, pomyślała, kiedy bohater wciągnął bohaterkę za rękę do cienistego wnętrza hangaru i wziął tam w ramiona.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Louise siedziała z zamkniętymi oczami na balkonie domku na przystani. Letni wietrzyk łaskotał jej skórę, słyszała plusk rai uderzających o molo poniżej. Westchnęła głęboko, wyciągnęła nogi i otworzyła oczy.

Na błękitnym niebie wisiała złota kula słońca.

- No, wreszcie. - Męski głos był ciepły i rozleniwiony, towarzyszyło mu ciche plum odkorkowywanej butelki wina. - Myślałem już, że prześpisz całe popołudnie.

Pokręciła głową i wstała. Obrus w białą-czerwoną kratę zatrzepotał w silniejszym podmuchu wiatru.

Sięgnęła machinalnie po napełniony winem kieliszek i spuściła głowę.

Podszedł bliżej i odgarnął jej włosy z twarzy. Poczula na policzku jego ciepły, lekko szorstki kciuk.

Wsunął palce pod jej włosy nad uchem. Wsparała głowę na jego dłoni i spojrzała mu w oczy. Nawet w blasku słońca widziała, jak jego źrenice rozszerzają się, ciemnieją. Ale dostrzegała w nich nie samo tylko pożądanie. Głęboko w tych ciemnościach kryły się odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie kiedykolwiek chciała zadać.

Tak, mówiły te oczy. Tak, jesteś tego warta. Tak, zasługujesz, żeby cię tak kochać.

Łza z jej rzęs spłynęła po policzku na szyję.

Drogocenna jemiola

229

I zapłonęło w niej coś, co przez tyle lat tłamsiła w sobie. Ben Oliver cofnął się w chłodny mrok hangaru, pociągając ją za sobą i pocałunkami udzielając dalszych odpowiedzi.

Louise ocknęła się z cichym jękiem i szeroko otworzyła oczy. Ogień na kominku dogasał, w telewizji leciał talk-show, którego gospodyni zasypywała stremowanych uczestników podchwytliwymi pytaniami.

Przyłożyła dłoń do walącego w piersi serca. To tylko sen. To był tylko sen. Spokojnie, wariatko. Aż tak żałosna się stałaś? Mężczyzna okazuje ci trochę zainteresowania, a ty podświadomie uznajesz, że jest miłością twojego życia? Tak spragniona jesteś uczucia?

No cóż, jej podświadomość będzie to musiała jeszcze raz przemyśleć. Spragniona czy nie, z tego pucharu się nie napije, jej mózg wymieszał rzeczywiste zdarzenia i osoby ze zdarzeniami i postaciami z wieczornego filmu. Zwyczajne zwanie na linii, i tyle.

Rozprostowała zdrtwiałą rękę, na której leżała. Tak, miłość, chociaż powinna wyglądać tak jak na starych filmach, wcale taka nie jest, pomyślała. I nigdy nie będzie. A im szybciej prawa półkula twojego mózgu się z tym pogodzi, tym lepiej.

Następnego dnia o wpół do czwartej po południu Louise nadal nie miała pewności, czy wygrała pojedynek ze swoją podświadomością. Siłąc się na spokój, nacisnęła guzik dzwonka przy drzwiach domu Oliverów.

Zamek szczęknął i drzwi zaczęły się uchylać. Louise wstrzymała oddech.

Stojąca w progu blondynka patrzyła na nią pytająco.

Fiona Harper

- Pani do kogo?

Louise przełknęła z trudem.

- Przyszłam... eee... pomóc Jasmine. Umawiałam się z panem Oliverem.

Kobieta kiwnęła głową, otworzyła drzwi na całą szerokość. Poprowadziła Louise do nowoczesnej kuchni z lśniącymi czerwonymi szafkami i blatami z czarnego granitu. Nie tak wyobrażała sobie gust Bena Olivera, ale może to nie on wybierał. Może maczała w tym palce pani Oliver.

- Dzień dobry! - Jasmine siedziała na wyściełanym stołku w kącie śniadaniowym. Na widok Louise zeskoczyła z niego i podeszła do niej zarumieniona, z rękami w kieszeniach.

Louise uśmiechnęła się. Jeszcze nie tak dawno sama była taka niezgrabna i czerwieniła się z byle powodu.

- Cześć. To co, pieczemy? Jas kiwnęła głową.

- Jack też z panią przyszedł?

- Nie. Jest teraz na treningu piłki nożnej, a potem wybiera się do kolegi na herbatę.

- Więcej tortu zostanie dla mnie - zachichotała Jas.

- Tak, hm... - Louise zerknęła na anonimową kobietę, która stała w drzwiach i przyglądała się jej z nieskrywaną ciekawością. - Pani też do nas dołączy?

- Nie, nie. - Jas pokręciła głową. - Tylko my dwie. - Spojrzała z niechęcią na kobietę i ta wycofała się bez słowa. -A na Julie niech pani nie zwraca uwagi.

-Jest tato?

- Nie. Kończy pracę o piątej, a w domu będzie dopiero około szóstej. Do tego czasu ona się mną opiekuje.

Louise poczuła ulgę.

Drogocenna jemiola

231

Ben nie zdążył jeszcze przekręcić klucza w zamku, a już w nozdrza poślaskotały go rozkoszne zapachy: rozgrzanego masła i cynamonu, cukru i wanilii. A więc Louise tu jest. Żołądek, w którym do tej pory burczało mu tylko z głodu, podszedł teraz do gardła. Weź się w garść, Ben.

To nic takiego. Po prostu dawno nie umawiał się z żadną kobietą, i tyle. Kiwnął na potwierdzenie głową i skierował się do kuchni. To na pewno to, bezapelacyjnie. Przedłużający się brak żeńskiego towarzystwa przyprawił go o lekką nadwrażliwość na bliskość kobiety. Zwłaszcza kobiety tak pięknej jak Louise Thornton. To testosteron się odzywa.

Ale czy musi się odzywać aż tak gromkim głosem?

Sięgnął już ręką do klamki kuchennych drzwi, ale w ostatniej chwili cofnął ją jak oparzony, zrobił w tył zwrot i odmaszerował w kierunku swojego gabinetu. Zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie i odetchnął głęboko. Praca go wzywa. Zresztą i tak musi uaktualnić pliki z projektem parku, który miał teraz na tapecie.

Ale zamiast włączyć komputer, wziął z biurka wielkoformatowy szkicownik i ołówek z miękkim grafitem. Komputer komputerem, ale najlepsze pomysły przychodziły mu do głowy, kiedy posługiwał się staroświeckimi metodami.

Rzucił szkicownik i ołówek z powrotem na biurko, zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła, usiadł i zapominając o pustym brzuchu, zabrał się do pracy.

Po pół godzinie wstał, by ocenić jej efekty.

No, pięknie. Najlepsze pomysły? Śmiechu warte.

Patrzył przez chwilę na rysunek, mrużąc oczy, potem obrócił go o dziewięćdziesiąt stopni. Z piersi wyrwał mu się przeciągły jęk, przejechał dłońmi po twarzy. Park oglądany z powietrza pod tym kątem przypominał olbrzymi tort z wi-

Fiona Harper

sienką na wierzchu. Jak mogło mu wyjść coś takiego, skoro myślał o alejkach i klombach? Najlepiej śmiało spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać się do porażki. Powinien teraz wejść do kuchni, powiedzieć „dzień dobry” i wyjść, udowadniając sobie tym sposobem, że nic złego się z nim nie dzieje. A wieczorem zadzwoni może do swojego kumpla Lukea i poprosi, by umówił go z którąś z koleżanek żony. Gaby już od ponad roku próbowała go wyswatać.

Uśmiechnął się, ale ten uśmiech przeszedł szybko w grymas. Prawda była taka, że nie miał jakoś ochoty z nikim się umawiać. Może kiedy Jas będzie starsza...

Pchnął drzwi kuchni i zamurowało go.

Gapił się zbaraniały na rozchichotane Louise i Jas, na których osiadał właśnie niczym mikroskopijny śnieg tuman cukru pudru wznoszący się nad szklaną misą.

- Nie tak... - mówiła Louise. - Powoli, z wyczuciem!

Jas śmiała się tak serdecznie, że wciągnęła w płuca trochę tego pudru i zaczęła się jednocześnie krztusić i kichać. Louise, która sama już kaszłała, poklepała ją w plecy. Żadna jak dotąd nie zauważyła, że wszedł.

Rozejrzał się. Panował tu nieopisany bałagan. Megan dostałaby zawału, gdyby zobaczyła teraz swoją wychuchaną kuchnię. Ale jemu się podobało.

- Tato! - Jas dostrzegła go pierwsza.

- Cześć, Jasmine. - Usiłował zachować powagę. Ktoś musiał tu wnieść trochę opamiętania.

- Chodź, zobacz, co nam wyszło! Postanowiłyśmy upiec ciastka zamiast tortu. - Chwyciła go za rękę i pociągnęła przez kuchnię do blachy ze stygnącymi ciastkami najrozmaitszych kształtów i w różnych stadiach dekorowania.

Drogocenna jemiola

233

Stała nad nimi Louise. Jeszcze przed chwilą śmiała się, teraz oczy miała czujne i milczała.

- Przepraszam za nieporządek - wymamrotała. - Trochę nas poniosło.

Szukał słów, żeby powiedzieć coś z sensem, ale nic stosownego nie przychodziło mu do głowy.

Rozpraszała go smużka cukru pudru na nosie Louise.

- Czemu tak mi się pan przygląda?

- Ma pani...

Ben wyciągnął rękę, żeby ją zetrzeć, ale Louise cofnęła się i zrobiła zeza, usiłując dostrzec to co on.

Potarła nos nasadą dłoni, rozmazując sobie na nim dżem.

Ben opuścił rękę. Niech sama doprowadza się do porządku. Tak będzie lepiej.

Louise popatrzyła na niego pytająco. Potem podeszła do piekarnika i przejrzała się w szybcie. Podał jej ścierkę. Wzięła ją, nie oglądając się na niego, otarła sobie twarz i wyprostowała się zarumieniona.

Było to tak do niej niepodobne, że uśmiechnął się mimo woli.

- O wiele lepiej.

Zarumieniła się jeszcze bardziej i też uśmiechnęła.

- Dobrze to słyszeć - powiedziała cicho.

Tylko że on wcale nie był przekonany, czy tak jest lepiej. Było coś pociągającego w przyprószonej cukrem pudrem, pachnącej wanilią Louise Thornton w jego kuchni. Wyglądała... realnie.

- Pora zabrać się za sprzątanie, Jas. - Louise podeszła z foremką do zlewu.

Ku zdumieniu Bena, Jas bez szemrania zaczęła chować torebki z mąką do szafki i pojemniki z jajkami do lodówki. Pokręcił głową i popatrzył poządlawie na równe rzędy upie-

Fiona Harper

czonych ciasteczek stygnących na kuchennym blacie. Do ust napłynęło mu tyle śliny, że musiał przełknąć ze trzy razy. Żeby się czymś zająć, wstawił wodę na herbatę.

Louise podeszła do niego z talerzykiem ciasteczek

- Poczęstuje się pan? Kiwnął głową.

- Te są nadziewane malinami i cytryną, te dżemem, a te samym kremem.

Wlepił wzrok w coś złotożółtego, posypanego z wierzchu cukrem pudrem.

Louise uśmiechnęła się.

- A więc z dżemem, tak? - Patrzyła przez chwilę na talerzyk z ciastkami, potem podniosła wzrok - Nie będę ukrywała, że staram się panu podlizać.

- Naprawdę? Kiwnęła głową.

- Wczoraj wieczorem oglądałam w telewizji... - oczy zaszły jej na kilka sekund mgiełką - ..film o Laurze Hastings. Park i ogród wyglądały wtedy prześlicznie. Czy podjąłby się pan przywrócenia ich do tamtego stanu?

Zamurowało go. Od lat czekał na taką propozycję. I wreszcie się doczekał.

- Pańska firma zajmuje się tego rodzaju rzeczami, prawda? - Patrzyła na niego dziwnie.

Kiwnął głową.

- Tak myślałam. Może porozmawiamy o tym jutro, w godzinach pracy. - Spojrzała znowu na talerzyk

- To co, poczęstuje się pan?

Ciastko, kiedy je wziął, było jeszcze ciepłe. Odgryzł kęs. Niebo w gębie. Obserwująca go Louise kiwnęła tylko głową. Wiedziała, że jest w tym dobra. Znakomicie zdawała sobie

Drogocenna jemiola

235

sprawę z tego, że jej ciastko zdegraduje Bena do poziomu zachwyconego dziecka. I ją to bawiło. Grudzień był do tej pory niezwyczajnie ciepły, ale nadciągało ochłodzenie. Czuł to w zimnych podmuchach wiatru hulającego nad rzeką. Ben siedział skulony za sterem swojej dinghy prującej ostre, stalowoszare fale.

Uśmiechnął się do przytulonej do niego Jas i przeniósł wzrok z powrotem na rzekę. Była to jedna z tych chwil, które na zawsze zapadają w pamięć. Szary nurt, perłowe niebo w górze, a na wprost, na szczycie wzgórza, majestatyczny biały dom, do którego zmierzali. W swoich wodoodpornych kurtkach - on w ciemnozielonej, Jas w jaskrawoczerwonej - stanowili w tym szaroburym krajobrazie jedyne plamki koloru psujące cały efekt.

- Jak myślisz, tato? Spadnie śnieg? Zastanawiał się przez chwilę, zaciskając usta.

- Nie wiem. Ale dobrze by było, prawda? Ostatnie białe święta Bożego Narodzenia mieliśmy, kiedy byłem jeszcze chłopcem. - Dopływali już do mola przy hangarze Louise. - Poczekamy, zobaczymy. Przycumował łódkę i ruszyli pod górę. Domu nie było stąd widać, bo zasłaniały go wzgórza i drzewa, ale znał drogę. Ziemia przed domem zryta była dokumentnie przez jego ekipę w ramach wstępnych prac związanych z kształtowaniem krajobrazu. Istne pobożowisko po bombardowaniu, ale żeby coś wypiękniało, najpierw trzeba to zesześcić.

Prace ziemne i wytyczanie alejek potrwają przez całą zimę i na wiosnę będzie można przystąpić do sadzenia. Do lata Whitehaven zmieni się nie do poznania. A z cza-

Fiona Harper

sem dojrzeje i nabierze niepowtarzalnego, zachwycającego uroku.

Niepowtarzalna i zachwycająca...

Jak łatwo jego myśli przenosiły się na Louise.

Jas pokazała mu niedawno wszystkie fotografie Louise oraz wzmianki o niej, jakie znalazła w niedzielnych wydaniach gazet i w czasopiśmie. Większość pochodziła sprzed rozvodu z Tobym Thorntonem. Przypomniało mu się zdjęcie wtedy jeszcze państwa Thornton, na którym stoją oboje uśmiechnięci na jakimś czerwonym dywanie, on obejmuje ją w talii, ona jego za szyję.

Widać już było dom i serce żywiej mu zabiło. Za chwilę zobaczy Louise. Mógłby wyznaczyć kogoś ze swoich pracowników do opieki nad mięsożernymi roślinami w szklarni, ale nadal przychodził tu co niedziela z nadzieją, że Louise nie zapyta, dlaczego wciąż zajmuje się tym osobiście.

Niedziela była teraz oficjalnie jego najulubieńszym dniem tygodnia. I wyczuwał, że Louise dobrze wie, że rośliny są tylko pretekstem. Z tygodnia na tydzień spędzali coraz więcej czasu na spacerach i rozmowie. W życiu nie pił tyle herbaty i nigdy tak mu nie smakowała.

Louise czekała na niego przed domem. Pomachał do niej. Uśmiechnęła się. Jak ona ładnie się uśmiecha.

Jest, przyszedł.

Pomachała mu na powitanie. Tak wypada. I, rzecz jasna, uśmiechnęła się, bo jak tu się nie uśmiechnąć, machając? Ale ten uśmiech wymknął się jej spod kontroli, wyszedł za szeroki, zbyt promienny.

Ben szedł wyciągniętym krokiem przez trawnik, lawiru-

Drogocenna jemiola

237

jąc między stertami czerwonej ziemi odkrytej przez robotników. Powiedzieli, że to w ramach rewitalizacji ogrodu różanego. Na czym ta rewitalizacja miała polegać, trudno było się jeszcze zorientować. Też do niej pomachał, ale jego twarz pozostała poważna.

A niech tam. Nawet lubiła, kiedy był poważny. Zaciskał wtedy szczęki, a oczy mu ciemniały. Westchnęła, zanim zbliżył się na tyle, by to zauważyć.

Zdawała sobie sprawę, że igra z ogniem. Ale ogień nie jest taki straszny, jeśli się wie, jaki dystans zachować, by ogrzewał, a nie sparzył. I taką właśnie zasadę przyjmie. Będzie trzymała Bena Olivera na dystans.

Czy jest coś złego w niewinnym zauroczeniu? Wprost przeciwnie, flirtowanie wpływa korzystnie na krążenie, rozprawdza po organizmie wszystkie te endorfiny. No i pomarzyć trochę na jawie nigdy nie zaszkodzi.

Na to jeszcze może sobie pozwolić. Dalej się nie posunie.

Bo wikłanie się w coś poważniejszego nie przyniesie jej ani Jackowi niczego dobrego. Już to przerabiała. Zakochała się kiedyś i zupełnie się w tej miłości zatraciła, pozwoliła się jej przytłoczyć. Chwila nieuwagi, i znowu może się to jej przytrafić. A wtedy przepadło. Jak już się zakochiwała, to bez pamięci, na zabój.

Spojrzała spod oka na podchodzącego Bena i ruszyli oboje w stronę domu. Jas i Jack zniknęli już w środku i pewnie próbowali dobrać się do herbatników w szafce.

Ben szedł obok niej ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię, ale musiał wyczuć jej spojrzenie, bo uśmiechnął się nieznacznie. Mimowolne westchnienie wyrwało jej się z piersi.

Fiona Harper

Ben Oliver uosabiał to wszystko, co pragnęła widzieć w mężczyźnie. Był silny, a przy tym łagodny, rozważny, a jednocześnie zabawny - chociaż czasami nieświadomie, ale przez to jeszcze bardziej ujmujący.

Nie dało się ukryć, że zupełnie do niej nie pasuje.

A ściślej rzecz biorąc, to ona nie pasuje do niego. Wyobraźnia podsuwała jej całkiem wyraźną wizję nowej żony dla Bena: kobiety przedsiębiorczej i silnej. Kobiety ufnej i łagodnego serca. A kiedy zapada noc i przychodzi pora na gaszenie świateł, on wyciąga rękę, gładzi ją po policzku, spogląda głęboko w oczy...

Łzy ni z tego, ni z owego napłynęły jej do oczu. Całe szczęście, że wchodzili już do kuchni, bo tam, zdejmując bez pośpiechu kurtkę i czapkę i wstawiając wodę na herbatę, mogła odwlec moment, kiedy na niego spojrzy.

Nie powiedział tego głośno, ale i tak wiedziała, że stara się chronić życie swoje i Jas przed zawirowaniami. I tak powinno być. Przykro przyznać, ale jedyne, co ona mogłaby do tego życia wnieść, to emocjonalne górki i dołki przypominające jazdę diabelską kolejką, nad którą nie da się zapanować. Nie może tego zrobić Benowi, który tak ciężko pracuje, by zbudować solidny fundament dla siebie i córki.

Patrzyła, jak Ben siedzący z dziećmi przy kuchennym stole rozsądza ich spór o to, które zjadło więcej ciastek. Kolejne westchnienie. Tym razem bolesne. Gdyby tak naprawdę...

Otrząsnęła się z tych myśli i zabrała za parzenie herbaty. To bez sensu snuć marzenia, które nie mają szans się ziścić. Ale w Benie było coś, co wpływało na nią pokrzepiająco. Będzie więc podtrzymywała tę znajomość jak długo się da, lecząc nią, jak balsamem, swoje rany.

Drogocenna jemiola

239

A kiedy te już się zagoją i marzenia związane z Benem nie będą jej dłużej potrzebne, zrezygnuje z nich i będzie patrzyła, jak ulatują z wiatrem niczym jesienne liście.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Louise zaangażowała Jacka do pomocy przy wypiekaniu ozdób na choinkę. Przeceniła jednak zdolność ośmiolatka do koncentrowania się na jednym zadaniu na niecały tydzień przed świętami. Skubnął trochę ciasta przygotowanego na ciasteczka, pokręcił się po kuchni i zniknął. Już drugi raz upominała go, by nie zjeżdżał po poręczy.

Wyjęła ostrożnie z piekarnika kolejną tacę złotobrazo-wych aniołków, wsunęła na jej miejsce drugą z ciasteczkami w kształcie gwiazdek i zamknęła drzwiczki. Kiedy skończy, będą mieli tych ciasteczek na obwieszenie dziesięciu choinek.

Pod wieczór, kiedy Jack trochę ochłonie, ubiorą w salonie drzewko. Nie mogła się już doczekać, kiedy zobaczy minę, jaką Jack zrobi na widok lampek mrugających na choince. Tak, byle do wieczora, kiedy słońce schowa się za wzgórze i zapadnie zmierzch.

Na razie miała do zabicia dwanaście minut, bo tyle piec się będzie kolejna partia ciasteczek.

Odpłynęła myślami w świat marzeń.

Ciepły letni dzień, wielki piknikowy koc rozpostarty w ogrodzie. Gdzieś z oddali dobiega dziecięcy śmiech. Ona oczy ma zamknięte, jej głowa spoczywa na kolanach Bena, a on machinalnie owija sobie wokół palca pasmo jej włosów.

Drogocenna jemiola

241

Czas zwolnił bieg, sekund nie odmierza teraz wskazówka zegarka, lecz brzęczenie pszczoł w kwiatkach lawendy.

Louise usiadła na krześle, wsparła łokcie o blat kuchennego stołu i złożywszy brodę na dłoniach, przymknęła powieki, by odciąć się od rzeczywistości.

Wyobraziła sobie, że otwiera oczy i widzi go wpatzonego w nią z zachwytem. Dech jej zapiera. Do tej pory w oczach mężczyzn dostrzegała tylko wilczy głód. Podziwiali opakowanie, ale mało który zadawał sobie trud zajrzenia do środka. Ci, którzy go sobie jednak zadali, na przykład Toby, nie potrafili docenić znalezionego tam daru.

Potrząsnęła głową. Zbliżał się ten moment, w którym Ben pochyla się, by ją pocałować, i nie życzyła sobie, żeby mącił go ktoś taki jak Toby. Dla niego nie było miejsca w tym letnim ogrodzie. Już padał na nią cień pochylającego się wyimaginowanego Bena, już widziała nad sobą jego rozszerzone źrenice, już czuła na skórze jego oddech...

I w tym momencie zadzwonił telefon.

Cholera!

Louise otworzyła oczy i zerwała się z krzesła. Mogła nie odbierać, zrobiłaby to za nią automatyczna sekretarka, ale ktokolwiek to był, zadzwoniłby pewnie jeszcze raz i znowu jej przerwał. Z ociąganiem podniosła słuchawkę stojącego na kuchennym blacie aparatu.

- Słucham?

- Cześć, Louise.

Znała ten głęboki zmysłowy głos. Wszelkie rojenia o pszczołach, lawendach i słońcu wymiotła jej z głowy nagła fala irytacji.

- Toby?

Ani myślała pytać, co u niego; zresztą mało ją to obcho-

Fiona Harper

dziło. A już na pewno nie miała ochoty słuchać, jak to mu się dobrze układa z dwudziestotrzyletnią Mirandą.

Toby nie odzywał się, a ją kusiło, by odłożyć słuchawkę. To był cały on - czekał, aż ona pierwsza się odezwie, zacznie zadawać pytania, na które on będzie jej łaskawie odpowiadał. O nie, niedoczekanie. Z pewnością ma do niej jakiś interes, skoro dzwoni. Niech to z siebie sam wydusi.

Toby odchrząknął.

- Louise...? Chciałem z tobą porozmawiać o świętach.

- Słucham. - Oparła się o blat i czekała.

-No więc... widzisz... dostałem gratisowe skierowanie na tygodniowy świąteczny pobyt w Laplandzie.

Co byś powiedziała, gdybym zabrał ze sobą Jacka?

Louise ścisnęło w dołku. Jack miałby spędzić z ojcem cały świąteczny tydzień? To byłoby jej pierwsze Boże Narodzenie bez niego. Ale Lapland... Jack byłby wniebowzięty!

- Nie widzę przeszkód, Toby. Spakuję mu ciepłe ubrania. Przyjedziesz po niego dwudziestego czwartego?

Po tamtej stronie zapadło niezręczne milczenie. -Toby?

- Bilety na samolot mam zabukowane na dwudziestego drugiego.

Na poniedziałek? Przecież to o całe trzy dni wcześniej! To by znaczyło, że Jack nie spędzi z nią nawet Wigilii.

- Nie możesz ich przebukować? - spytała z paniką w głosie.

- Niestety. Klamka zapadła. -Bo... bo...

Toby prychnął z irytacją.

- Daj spokój, Louise. To Lapland. Jack będzie zachwyco-

Drogocenna jemiola

243

ny. Poza tym od miesiąca się z nim nie widziałem, bo byłem na planie. Lecimy tylko on i ja. Czas dla ojca i syna. On tego potrzebuje.

Toby miał rację. Jack rzeczywiście tego potrzebuje. Tęsknił za ojcem.

- Tylko ty i Jack? A co z... Mirandą? Toby westchnął ciężko.

- Miranda... A co tu owijać w bawełnę, Miranda to już przebrzmiała historia.

Uniosła brwi. Naprawdę?

- Brakuje mi ciebie, Lulu.

- Przykro mi, Toby, ale będziesz musiał sobie jakoś z tym poradzić.

Wzdrygnęła się. Za żadne skarby nie wróci do tamtego życia. Teraz jest wolna, szczęśliwsza niż przez ponad dwadzieścia ostatnich lat

- Nie bądź taka, Louise. Wciąż masz do mnie żal?

O nie, panie Thornton, nie ze mną te numery! Odsunęła słuchawkę od ucha i patrzyła na nią gniewnie.

Najchętniej odesłałaby go do wszystkich diabłów, ale nie zrobi tego przez wzgląd na Jacka.

- W porządku. Zabierz Jacka do Laplandu, ale za to u mnie spędzi Wielkanoc.

Toby odetchnął z ulgą.

- Dzięki. Przyjadę po niego jutro po południu. Odlatujemy w poniedziałek z samego rana z Gatwick.

- Rozumiem. To do zobaczenia. Odłożyła słuchawkę i odetchnęła głęboko.

Teraz pozostaje tylko przekazać Jackowi tę radosną nowinę bez zalewania się łzami.

Fiona Harper

Przed Whitehaven stał obcy, zaparkowany byle jak samochód. Ben zobaczył go, wychodząc z lasu na polanę. Było to sportowe, nisko zawieszone auto, którym nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszczałby się w takie jak tutaj wertepy. Na dodatek lało jak z cebra i jeśli właściciel nie odjedzie stąd w ciągu pięciu minut, to nie odjedzie wcale albo utknie gdzieś po drodze w błocie.

Z domu wyszła Louise z Jackiem na rękach. Za nią postępował ubrany na czarno mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych. Ben prychnął pogardliwie. Zrównanie dnia z nocą za pasem, niebo zasnuwane szczelnie ołowianymi chmurami, gdzie on tu widzi słońce?

Gość zdjął okulary i schował je do kieszeni. Ben dopiero teraz go rozpoznał. Tobias Thornton uśmiechnął się do byłej żony i cmoknął ją w policzek. Zdaniem Bena to cmoknięcie trwało zbyt długo, ale Louise uśmiechnęła się promiennie. Przypomniały mu się prasowe fotografie, które pokazywała mu Jasmine.

No nic. Nie będzie tu tkwił jak kołek. Zajrzy lepiej do szklarni, jak to robił na samym wstępie w każde niedzielne popołudnie. Zwlekał jednak.

Niby wiedział, że Louise to Louise Thornton, ale w jego odczuciu tamta kobieta z magazynów i ta samotna matka, która lubi piec, nie miały ze sobą nic wspólnego. I teraz te dwa odrębne wszechświaty naraz się zderzyły. Na jego oczach. Weź się w garść, Ben. Czas się obudzić i oprzytomnieć.

Przeciągał jak mógł podlewanie i nawożenie roślin. Kiedy skończył, posprzątał szklarnie i zabrał się do zamiatania podłogi. I przez cały ten czas miał przed oczami uśmiechniętą Louise. Przerwał zamiatanie i odstawił miotłę pod ścianę.

Drogocenna jemiola

245

Nagle do niego dotarło. Uśmiechała się, ale ten uśmiech nie obejmował oczu. Te pozostały tak samo puste jak na zdjęciach. Ona udaje. Przez wzgląd na Jacka.

Uśmiechnął się do siebie. Zapadał zmierzch, najwyższa pora na herbatę.

Drzwi do kuchni były zamknięte na klucz. Przez szpary nie wydobywał się ciepły aromat pieczonego ciasta. Ciemne okno, cisza. Spróbował od frontu - to samo. Ani śladu czyjejś bytności w gabinecie i bibliotece. Skreślił za narożnik domu i zajrzał przez tarasowe okno do ciemnego salonu z nie-ubraną choinką w kącie. Ani żywego ducha.

Gdzie się podziała Louise?

Czyżby gdzieś z nim pojechała? A gdyby nawet, to nic mu do tego. Skończył już tutaj, co miał do zrobienia, i może iść do domu. Za półtorej godziny Megan odwozi Jas.

Ruszył przez park ścieżką prowadzącą do hangaru dla łodzi u stóp wzgórza. Mijając hangar, dostrzegł obluzowaną cegłę wystającą nieco ze ściany. Nie można jej tak zostawić, bo jeszcze ktoś gotów odkryć schowek. Wsunął cegłę głębiej, żeby nie rzucała się w oczy.

Wskoczył do dinghy i miał ją już odwiązać od molo, kiedy zobaczył światło w balkonowym oknie hangaru. Ktoś tam jest. I nawet domyślał się kto. Zastanawiało go tylko, co tam robi. Dlaczego ukrywa się w starym zakurczonym hangarze, skoro na szczycie wzgórza ma dwudziestopięciopokojowy georgiański dom?

Istnieje tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

Wyskoczył na molo, podbiegł do budyneczku, wspiał się po schodach i zapukał lekko do drzwi.

- Louise?

Cisza. Położył dłoń na klamce.

Fiona Harper

- Odejdź - dobiegł go zza drzwi zduszony głos.

Nie posłuchał. Nacisnął klamkę i pchnął stare drzwi. W środku panował bezruch. Louise, siedząca tyłem do niego, nawet się nie obejrzała. Zaskoczony transformacją, jakiej uległo to zapuszczone jeszcze do niedawna pomieszczenie, zatrzymał się w progu.

Pokój nad hangarem dla łodzi wyglądał teraz jak wnętrze nowoangielskiej willi. Kiedy się to dokonało?

Odmalowane na biało ściany, kominek wyczyszczony, biurko i trzcinowe meble odkurzone i odświeżone, krzesło okryte materiałem w biało-niebieską kratkę, lampa naftowa na biurku...

Louise siedziała po turecku na czymś, co było skrzyżowaniem żelaznej ramy starego łóżka z sofą, i wpatrywała się w ogień płonący na kominku. Nie musiała nic mówić. Wyczuwał, że nie jest tu mile widziany.

Nie należał do facetów, którzy pchają się tam, gdzie ich nie chcą, ale zamiast się odwrócić i wyjść, zbliżył się do tej niby sofy i usiadł z drugiego końca.

- Co się stało?

- Boże Narodzenie odwołane - powiedziała, nie odrywając oczu od płomieni.

Poprawił się na sofie i też spojrzął w ogień.

- To by wyjaśniało sprawę choinki.

Louise wydała z siebie chrząknięcie, które można było od biedy uznać za pytające, dodał więc:

- Tej w salonie. Stoi nieubrana.

- Teraz nie ma wielkiego sensu jej dekorować. Jack pojechał do Laplandu.

- Do Laplandu?

Spojrzała na niego płonącymi oczami.

Drogocenna jemiola

247

- Boże Narodzenie z ojcem. Renifery. Atrakcje nie do przebiccia.

Wzruszył ramionami.

- Może się pani uważać za w czepku urodzoną. Za Lapland jeszcze warto pocierpieć. Moja Jasmine spędza tych kilka dni z mamusią i jej nowym przyjacielem w Cotswolds.

- Wygrał pan. Pańskie Boże Narodzenie zapowiada się jeszcze gorzej od mojego. Witam w klubie zdołowanych.

Kiwnął głową, wstał i przeszedł się po pokoju.

- Ładnie tutaj - orzekł, zmieniając temat.

Louise podciągnęła kolana pod brodę i okryła pledem nogi.

- Nieźle, prawda? Kazałam nawet uszczelnić okna. - Rozejrzała się i oczy jej się zaszklily. - Kusi mnie, żeby przenieść się tutaj na cały ten świąteczny okres. W domu jest tak... no, wie pan.

Kiwnął głową. Nieubrana choinka mówiła sama za siebie.

Wziął głęboki oddech i podszedł do niej z wyciągniętą ręką. Ściągnęła brwi i ciaśniej opatuliła nogi pledem.

- Chodźmy - powiedział, przebierając palcami. - Mam w domu duszoną jagnięcinę. Zapraszam na kolację.

- A Jas? Nie będzie miała nic przeciwko temu?

- Wprost przeciwnie.

Podala mu rękę, a on pomógł jej wstać. Bez butów była niższa i teraz patrzył na nią z góry.

Spuściła głowę i uwolniła dłoń z jego uścisku.

- Jesteś chyba moim aniołem stróżem, Ben.

Mile go zaskoczyło, że zwraca się do niego po imieniu, a nie oficjalnie, per pan, jak do tej pory.

Podeszła do wieszaka-

Fiona Harper

ka przy drzwiach i zdjęła z niego kurtkę. Zapinając ją, rzuciła mu jeszcze jedno spojrzenie.

- Zjawiasz się zawsze wtedy, kiedy ogarniają mnie czarne myśli i potrzebuję pocieszenia.

Udając, że nie ujęły go te słowa, zgasił lampę i wyszli. Louise zamknęła drzwi, klucz odłożyła do schowka i w milczeniu ruszyli mołem do kołyszącej się na wodzie dinghy.

Dom bez Jacka wydawał się opustoszały. Być może ta przeprowadzka na wieś była jednak błędem.

Louise zatrzymała się nad płytkim stawem otoczonym bambusami. Spomiędzy nich patrzył na nią beznamiętnie pokryty patyną, miedziany posążek Buddy.

Od kilku dni zaglądała do domu tylko wtedy, kiedy musiała z niego coś zabrać albo kiedy skończyła się jej herbata w termosie. Większość czasu spędzała na przystani. Przedkładała ten mały przytulny pokoik nad rozbrzmiewające echami Whitehaven.

Dzisiaj zamierzała spędzić w hangarze noc pod kołdrą i pledem, przy ogniu płonącym na kominku i z dobrą książką do towarzystwa. Miała nadzieję, że Święty Mikołaj nie odnajdzie jej w tej kryjówce i przeleci górą, nie lądując.

Krzątała się po domu między kuchnią a sypialnią, kompletując wyprawkę z najpotrzebniejszych drobiazgów i marząc na jawie.

Na kominku płonie ogień, jest wczesny ranek, niebo na zewnątrz ciemnoniebieskie, Jas i Jack spierają się, kto i kiedy będzie rozdawał prezenty. Ona i Ben śmieją się i w końcu, dla świętego spokoju, rozdają je dzieciom. Pośród chichotu dzieci i szelestu papieru towarzyszących rozpakowywaniu, Ben odciąga ją na stronę i wręcza owinięte w srebrny

Drogocenna jemiola

249

papier pudełko przewiązane białą, aksamitną wstążką. Ona uśmiecha się i spogląda na niego. „Nie trzeba było”, mówią jej oczy. Jednak po chwili ciekawość bierze górę. Odwija pudełko z papieru z taką samą niecierpliwością, z jaką robią to dzieci. Ale zanim je otworzy, przygryza wargę i znowu spogląda na Bena. W końcu podważa wieczko, otwiera pudełko, a tam...

Już kilka razy snuła marzenie według tego scenariusza i w tym miejscu zawsze się zacinała. Co mogłoby się znajdować w pudełku? Coś z biżuterii, balsam do ciała, płyn do kąpieli? Nie, to zbyt trywialne.

Wrzuciła do torby zmianę ciepłych ubrań i spojrziała w lustro. Źle z tobą, dziewczyno. Poważnie. Czy w tym fantazjowaniu o ogrodniku nie posuwasz się aby za daleko?

Owszem. Za daleko. Ale co tam.

Uśmiechnęła się szelmowsko do swojego odbicia, odwróciła do lustra plecami, zasunęła zamek błyskawiczny torby i przewiesiła ją przez ramię. Zegar na obramowaniu kominka wskazywał trzecią po południu. Komu w drogę, temu czas. Niedługo się ściemni, a nie będzie przecież szła błotnistą ścieżką przykrytą rozmiękłymi liśćmi po omacku.

Kiedy od celu dzieliło ją jeszcze kilka minut marszu, zaczęło padać. Przyśpieszyła kroku. Wyjęła klucz ze schowka, wbiegła po schodkach na górny poziom, otworzyła drzwi do swojego przytulnego pokoju i zatrzymała się jak wryta.

Co jest...?

Nie wierzyła własnym oczom. Co tu się porobiło pod jej nieobecność?

Wszędzie świece - duże, grube, wysokie, jak w kościele. Na kominku trzaskający ogień pożerający łapczywie świeże

250

Fiona Harper

polana. Na obramowaniu kominka stroik z bluszczu i ostro-krzewu, a w kącie, przy oknie...

Louise roześmiała się w głos. Jak to możliwe?

Choinka? Nie jakaś wielka, ale co najmniej półtorametrowa, nieubrana, nie licząc srebrnej gwiazdy na czubku. Kiedy się do niej zbliżyła, zauważyła stojące na podłodze pudełko z czekającymi na zawieszenie ozdobami. Czerwone, bordowe i srebrne błyszczące bombki będą w blasku świec wyglądały zachwycająco. Ostrożnie wyjęła z pudełka jedną i obróciła w palcach.

-Skąd...? Kto...?

Za oknami zawarczał zapuszczany silnik zaburtowy i w jednej chwili na wszystkie te pytania znalazły się odpowiedzi. Wybiegła na balkon i wychyliła się przez barierkę.

- Ben!

Siedział w małej łódce i odbijał już od mola. Uśmiechnął się, pomachał i zawołał coś, ale jego słowa porwał wiatr.

Nie mogła stać tu dłużej, bo lało jak z cebra i była już przemoczona od stóp do głów. Wycofała się do pokoju i pozamykała wszystkie drzwi.

Potem, czując zamęt w głowie, usiadła przed kominkiem i zapatrzyła się w płomienie. Czy ten facet naprawdę istnieje? Do tej pory jeszcze nikt nie zadał sobie trudu, żeby zrobić dla niej coś tak specjalnego. Ojciec może by i chciał, ale z powodu swojej niepełnosprawności nie był w stanie. To na nią spadała opieka nad rodzeństwem, dbanie o dobry nastrój w domu i podtrzymywanie wszystkich na duchu, kiedy bieda zaglądała im w oczy.

Toby był dobry w zasypywaniu jej prezentami na pokaz - brylantami, samochodami, raz nawet wynajął wakacyj-

Drogocenna jemiola

251

na willę na Majorce - ale żaden z nich nie mógł się równać z tym.

Louise wstała i uniosła dłoń do ust.

Uwaga, niebezpieczeństwo! Dotarło do niej nagle, że takie marzenia na jawie mogą być groźne.

Ostatnio jej myśli krążyły wciąż wokół Bena Olivera. Jej mózgowi już to spowszedniało i zaczynał domagać się czegoś więcej - więcej niż same fantazjowanie. Zwłaszcza w takich jak ta sytuacjach.

Pragnęła, żeby wszystkie te chwile, które przeżywała w wyobraźni, urzeczywistniły się.

Święci pańscy, pomóżcie!

A zapowiedziała sobie przecież, że stanie wreszcie na własnych nogach i nie da się więcej zdominować żadnemu mężczyźnie. Ben Oliver był jak narkotyk i ona coraz bardziej się od niego uzależniała. A już zaczynała czuć się bardziej sobą, niż była żoną Toby'ego.

Teraz mało brakuje, żeby stała się zapatrzoną w Bena Olivera kobietą, która świata poza nim nie widzi.

Uwaga.

Rozejrzała się po pokoju. Na znak, że pragnie pozostać niezależna, powinna spakować to wszystko i wystawić za drzwi, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Gdyby tak zrobiła, pokój nad hangarem upodobniłby się do pustej, rozbrzmiewającej echemi rezydencji na wzgórzu, a przecież od tego właśnie tu uciekała.

Bombki w pudełku lśniły, prosiły się, żeby je zawiesić. Posłuchała.

Skończywszy, ściągnęła z sofy pled, zarzuciła go sobie na ramiona i usiadła na podłodze przed kominkiem, opierając się plecami o jedno z trzcinowych krzeseł. Po kilku minutach ciszę, w której słyszała tylko własny oddech i syk pło-

Fiona Harper

mieni liżących świeże polana, zakłóciło pukanie do drzwi. Spojrzała na nie.

Pukanie powtórzyło się. Wstała, owinęła się szczelniej pledem i otworzyła. Serce mocniej jej zabiło, kiedy zobaczyła go przemoczonego do suchej nitki, z papierową torbą w jednej ręce i plecakiem w drugiej.

- Ben?

- Louise... Mogę wejść?

Odsunęła się, by go przepuścić. Wręczył jej papierową torbę. Była ciepła i pachniała egzotycznymi przyprawami. Wszedł do pokoju i położył plecak na podłodze.

- Prawdę mówiąc, to nie powinnam cię wpuszczać. Zdążyłeś tu już dzisiaj raz wejść nieproszony. -

Siliła się na beznamiętny, wyprany z emocji ton.

Znieruchomiał z nieprzemakalną kurtką ściągniętą do połowy.

- Źle zrobiłem? Jeśli tak, to przepraszam, Louise. Chciałem tylko.

Jak można się gniewać na tego cudownego, słodkiego mężczyznę? Z uśmiechem ściągnęła z niego do końca kurtkę.

- i udało ci się.

Na twarzy Bena odmalowała się ulga.

- Dzięki. Mam tu coś na ząb. - Ben wziął od niej torbę i zaczął wypakowywać zawartość na niski stolik pośrodku pokoju.

Louise wyjęła dwa talerzyki i sztuce. Zasiedli do posiłku. W pewnej chwili Ben spojrzał na nią i zastygł z talerzykiem w ręku.

- O co chodzi?

Jak ma mu powiedzieć, ile to wszystko dla niej znaczy?

Drogocenna jemiola

253

Nie było na to słów, poprzestała więc na prostym i eleganckim:

- Dziękuję, Ben.

Z jego oczu wyparowała niepewność.

- Dlaczego... to znaczy, co ma znaczyć... to wszystko? Odstawił talerzyk i spojrzał na nią z powagą.

- Pomyślałem sobie, że trzeba cię trochę podnieść na duchu. Pamiętam jeszcze, jakie straszne było moje pierwsze Boże Narodzenie bez Jas. - Pokręcił z półuśmiechem głową.

- Wiem, co to znaczy być samotnym rodzicem z nadmiarem czasu do zabicia. Jasmine wyjechała, moi rodzice mieszkają teraz w Hiszpanii, a siostra wybrała się w odwiedziny do teściów. Nawet pracą nie mogę się ratować. O tej porze roku nikt nie zleca prac ogrodniczych.

- No tak, ale nie musiałeś tego wszystkiego robić. - Złośliwy głos wewnętrzny podsuwał jej straszne wytłumaczenie: nikt nie robi niczego z pobudek czysto altruistycznych. On musi czegoś od ciebie chcieć. - Nie śpiamy przecież ze sobą

- wyrzuciła z siebie.

O Boże! Naprawdę to powiedziała? Spłonęła rumieńcem.

Ben odłożył sztucce i wstał.

- Jeśli tak mnie oceniasz, to lepiej już sobie pójdę. Zerwała się na równe nogi.

- Nie, zostań! Przepraszam! Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, żeby to powiedzieć. Byłeś taki miły...

- Nienawidziła siebie teraz bardziej niż kiedyś za tamte fałszywe uśmiechy na użytek paparazzich i udawanie, że jej pożycie z Tobym układa się jak w bajce.

Ben stał tyłem do niej i nakładał kurtkę. Ze łzami w oczach położyła dłoń na wilgotnym wciąż rękawie.

Fiona Harper

- Proszę cię, Ben. To dlatego... - Głos jej się łamał. - Nikt nigdy nie zrobił dla mnie niczego bezinteresownie. Nie jestem do tego przyzwyczajona.

Odwrócił się do niej trochę już udobruchany, sądząc po minie.

- Naprawdę? Nikt?

Pokręciła głową, usiadła na najbliższym krześle i ukryła twarz w dłoniach.

- Boże, jaka ja jestem żałosna.

Ben nie wiedział, co robić. W głowie miał pustkę. Spojrzał na stroik, na świece, na choinkę...

Chwileczkę, choinka! Przecież nie zdążył ubrać tego nieszczęsnego drzewka, a teraz jest obwieszona bombkami, które pod nim zostawił. Louise go wyręczyła.

Obudziła się w nim nadzieja.

Louise siedziała na krześle skulona, wpatrzona w podłogę. Ściągnął kurtkę i odwiesił ją na wieszak.

Louise spojrzała na niego zdziwiona. Nie spodziewała się, że zostanie. Dlaczego tak nisko się ceniła?

Usiadł z powrotem na swoim krześle, założył nogę na nogę i spojrzał na Louise.

- Nie wiem jak ty - odezwał się - ale ja mam ochotę na deser.

Louise zrobiła wielkie oczy.

- Na deser?

Uśmiechnął się w duchu, sięgnął do plecaka, który wcześniej położył na podłodze obok krzesła, i wyciągnął butelkę czerwonego wina. Żadnych tam ekstrawagancji. Zwyczajnego caberneta z supermarketu.

Louise uśmiechnęła się. Wstała i wyjęła z szafki dwie filiżanki.

Drogocenna jemiola

255

Kieliszków nie miała, korkociągu też nie, ale nie był potrzebny, bo butelka była zakręcana.

Ben napełnił obie filiżanki winem i jedną podał Louise.

-Wznieśmy toast za Boże Narodzenie - powiedział i stuknęli się filiżankami.

Louise roześmiała się.

- Coś dziwnego tu się dzieje... za Boże Narodzenie.

Upili po łyczku wina i przenieśli się na sofę. Gawędzili czas jakiś o wszystkim i o niczym, potem oboje zamilkli. Świece migotały, słońce już zaszło i temperatura na zewnątrz zaczęła spadać.

Milczenie przedłużało się i Ben chciał się już pożegnać, kiedy Louise nagle się odezwała:

- Chyba już nie wiem, kim naprawdę jestem.

Ojej. Dobre uczynki, sympatyczne gesty - w tym był dobry. Ale egzaltowane babskie konwersacje nie należały do jego najmocniejszych stron. Na szczęście Louise najwyraźniej wystarczało, że ma w nim słuchacza.

- To opłakany skutek bycia byłą żoną - ciągnęła, uśmiechając się do niego blado.

Jaką znowu żoną? Pierwszy raz słyszał to określenie.

- To skrót od „Żon oraz przyjaciółek” - wyjaśniła, odczytawszy zapewne z jego zakłopotanej miny, że nie wie, o czym mowa. - Prawdę mówiąc nazywają tak drugie połówki słynnych sportowców, ale do mnie chyba też pasuje. Żony polują w stadach, uwielbiają zakupy i pozowanie do zdjęć, a przede wszystkim rajcuje je blichtr.

- Nie jesteś żoną! - zaprotestował, chyba trochę za szybko, zapominając, że przecież nie wie, jak się zachować w takich jak ta sytuacjach.

- Owszem, przestałam nią być dopiero po rozwodzie z Tobym.

Fiona Harper

Ben ściągnął brwi i pokręcił głową. Nie chciało mu się wierzyć, że ta definicja mogła się kiedykolwiek odnosić do Louise. Przecież nie cierpi być fotografowana! Miał już ten argument na końcu języka, lecz znowu go ubiegła:

- Ale na początku byłam - wyznała. - i to pełną gębą: wystawne przyjęcia, okładki magazynów, blichtr. - Zachichotała gorzko. - Z czasem zrozumiałam, że sławę zawdzięczam tylko jemu. Byłam przecież żoną swojego męża, Tobiasa Thorntona, sama nie dokonałam niczego, co by usprawiedliwiało popularność, jaką się cieszyłam.

Poprawił się na sofie i spojrzał na nią uważniej.

- Przecież byłaś modelką, kiedy go poznałaś.

Kiwnęła głową i wpatrzyła się w swoją filiżankę z czerwonym winem.

- Owszem. I z początku jakoś się układało. Ale na dłuższą metę przeciągające się okresy rozłąki nie służą małżeństwu,, a my całe tygodnie spędzaliśmy z dala od siebie, na różnych kontynentach. Potem na świat przyszedł Jack i już nie dało się tak dalej ciągnąć, trzeba mu było zapewnić dom, jakieś poczucie stabilizacji... - Urwała i zapatrzyła się w sieczone deszczem okno.

Dlaczego ona siebie o wszystko obwinia? To właśnie cała Louise - rodzina jest dla niej na pierwszym miejscu. Najwyższy czas, by pomyślała o sobie, coś wreszcie zrobiła dla siebie. Nie z pobudek egoistycznych, ale dlatego, że w pełni na to zasługuje. Ben potarł podbródek. Gdyby tak znał jej najskrytsze pragnienia...

Louise otrząsnęła się z zamyślenia i spojrzała na niego tak, że ciarki przebiegły mu po plecach.

Niemożliwe.

W jej rozszerzonych, pociemniałych źrenicach płonął

ogien. Zdarzalo mu sie juz, ze kobiety tak na niego patrzyly, ale nigdy by sie nie spodziewal, ze doczeka sie takiego spojrzenia ze strony Louise. To niemozliwe, by pragnela... jego. Serce o malo nie wyskoczylo mu z piersi. No, pieknie. I co teraz?

ROZDZIAŁ ÓSMY

W tym momencie Louise pragnęła tylko jednego - nie patrzeć na Bena jak na prezent pod choinkę, który chce się jak najszybciej rozpakować. Łatwo powiedzieć.

Bombki na choince połyskiwały w blasku świec. Nie do końca pokrywało się to z jej ulubionym snem na jawie z Benem w roli głównej, ale podobieństwa były uderzające. Choinka, ogień na kominku, poczucie, że to o nią dla odmiany ktoś się troszczy...

Prawdę mówiąc, w świecie rzeczywistym wypadało to nawet lepiej. Posiłek, wino i towarzystwo stanowiły o wiele słodszy podarunek niż srebrne pudełko z bliżej nieokreśloną zawartością z jej fantazji. No i Ben, wokół którego wszystko się obracało, był tutaj z krwi i kości.

Złożyła dłonie na kolanach i uśmiechnęła się do niego- Tak więc... jestem żoną. Kobieta, która ukształtowała się przy mężu, a teraz dryfuje przez życie, gdzie ją los poniesie, bez żadnego celu.

Ben chciał chyba zaprotestować, ale nie dopuściła go do głosu.

- Pieniędzy miałam w bród i nie musiałam pracować, ale chciałam się czymś zająć, bo samo wychowywanie

Drogocenna jemiola

259

Jacka mi nie wystarczało. Co z tego, skoro poza mizdrzeniem się do kamer nic nie umiałam. Nie skończyłam nawet szkoły.

O właśnie. To go odstręczy. Uzna ją za ostatniego tłumoka. Zerknęła na niego, ale nic nie wskazywało, żeby tak sobie pomyślał. Trzeba będzie wytoczyć cięższą artylerię.

- Czego to ja się wtedy nie imałam. Tobi radził mi brać przykład z żon jego znajomych. Zaczęłam od działalności charytatywnej, potem próbowałam swoich sił w telewizji, gdzie prowadziłam program o modzie, no i zupełnie się tam nie sprawdziłam. Nie odnowili ze mną kontraktu. Zaprojektowałam nawet własną linię okularów przeciwsłonecznych.

Spojrzała na Bena i czekała na jego reakcję. Wzruszył ramionami, tak jakby chciał powiedzieć: I co z tego?

Właśnie, co? Kolekcja nie zrobiła furory. Skończyło się totalną klapą.

Odetchnęła głęboko, szukając w pamięci jeszcze jakiegoś swojego beznadziejnego przedsięwzięcia, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Wstyd i hańba. Ma już trzydzieści jeden lat, a tylko tyle w życiu dokonała.

- Dlaczego nie skończyłaś szkoły? Wzruszyła ramionami.

- Tacie się pogorszyło, kiedy miałam piętnaście lat. Bywały dni, kiedy musiałam z nim zostawać w domu. Zresztą nawet gdybym w te złe dni chodziła do szkoły, to i tak nie potrafiłabym się tam skoncentrować.

Ben wziął ją za rękę. Ten zwyczajny ludzki gest wystarczył, by łzy napłynęły jej do oczu. Powinna na tym poprzestać, ale nie mogła. Nie czuła się na siłach dłużej tego w sobie tłamsić.

Fiona Harper

- Kiedy byłam w ostatniej klasie, stan zdrowia taty jeszcze bardziej się pogorszył. Miałam już tyle opuszczonych godzin, że o odrobieniu zaległości nie było co marzyć. Do tego niektóre z dziewcząt strasznie mi dokuczały... wiesz, jakiei potrafią być dziewczyny. Tato cierpiał, przez co stawał się coraz bardziej rozdrażniony i zgryźliwy, a swoją frustrację wyładowywał na mnie. Nie, nie fizycznie, tylko werbalnie. Ale ja to rozumiałam, naprawdę rozumiałam.

Gdy Ben pogładził grzbiet jej dłoni, pękło w niej coś twardego. Cofnęła rękę i otarła chusteczką łzy, które potoczyły się; jej po policzkach. Za płaczliwie się robi. Pora okrasić tę historię jakimś optymistycznym akcentem.

- Ale w końcu do Kopciuszka los się uśmiechnął - dodała wesoło. - Nie miałam jeszcze siedemnastu lat, kiedy wy-; patrzył mnie łowca talentów z agencji modelek, i z dnia na dzień wszystko się zmieniło. Ben podał jej jeszcze jedną chusteczkę.

- A co z resztą twojej rodziny?

- Zarabiałam tyle, że stać mnie było na kupno nowego domu, na opłacenie rodzeństwu studiów, i w ogóle. Sarah, najstarsza po mnie, jest teraz prawniczką i pięć lat temu wyemigrowała do Australii, Billy i Charlotte mieszkają wciąż w Londynie: on prowadzi restaurację, ona jest fryzjerką. A Charlie, najmłodszy, kończy właśnie studia. Chce zostać aktorem. - Przewróciła oczami. - Z niektórymi nie ma dyskusji.

Jej dłoń nie wiadomo kiedy znalazła się znowu w dłoni Bena.

- A tato?

Do licha! Skąd u tego człowieka taka umiejętność czytania między wierszami?

Drogocenna jemiola

261

- Umarł w rok po tym, jak zostałam modelką. - Spojrzała Benowi w oczy, szukając w nich zrozumienia dla swojego postępu. - Porzuciłam go - szepnęła. - A nie powinnam.

I rozplakała się, teraz już naprawdę rozplakała.

Ben ujął jej twarz w dłonie i zmusił, by na niego spojrzała. Nikt jeszcze nie patrzył na nią tak jak on. Jak na coś kruchego, cennego.

- Louise... - zaczął głosem cichym i schrypniętym - Louise, jesteś... Jak by tu...

Jak na człowieka elokwentnego, to dukanie nie wróżyło niczego dobrego. Spochmurniał, widać było, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę.

No wyduś to z siebie! - krzyknęła w duchu. Powiedz mi! Powiedz, co o mnie myślisz! Muszę to wiedzieć!

Nie patrzył już na nią, tylko na ścianę za jej plecami, a kiedy spojrzał znowu, serce zamarło jej w piersiach. Czekala. Jego wzrok zsunął się na jej wargi, a te mimowolnie się rozchyliły. Wstrzymała oddech.

On chyba chce ją pocałować. Świat zaczął wirować.

Pochylał głowę powoli, dając jej czas na odsunięcie się na wypadek, gdyby, zorientowawszy się, co zaraz nastąpi, doszła do wniosku, że sobie tego nie życzy. Ale ona chciała. Chciała go poczuć, posmakować w naturze.

Zamknęła oczy, kiedy zetknęły się ich usta. Było lepiej, niż sobie wyobrażała. Bez porównania. Ben oderwał dłonie od jej twarzy, zanurzył palce w jej włosach i przyciągnął do siebie jeszcze bliżej. Teraz już nie on całował ją, lecz ona jego. Pożądała Bena. Całą sobą. Niech to się stanie. Tu i teraz.

Wzięła głęboki oddech i niecierpliwymi palcami zaczę-

Fiona Harper

ła rozpinać mu koszulę. Ben zastygł, a potem cofnął głowę i spojrzał na nią tak, jakby chciał ją powstrzymać.

- Nie musimy się z tym śpieszyć - wyszeptał. Wiedziała, o co mu chodzi. Starał się zachowywać jak dżentelmen, zostawić otwartą furtkę, przez którą mogłaby się jeszcze wycofać. Spojrzała mu głęboko w oczy.

- A może ja chcę. Chwycił jej dłoń i ścisnął.

- Poważnie, Louise. Nie chcę, żebyś potem myślała, że wykorzystałem twoją chwilę słabości. Może to nie jest najlepsza pora na tego rodzaju decyzje.

Przesunął palcem po jej brodzie i spojrzał znowu na usta, ale Już jej nie pocałował.

- Dlaczego nie wolno mi decydować za siebie?

Nawet w jej uszach nie zabrzmiało to przekonująco, ale jeszcze nie dawała za wygraną. Chwile takie jak ta były ulotne i magiczne jak samo Boże Narodzenie. Pojutrze czar pryśnie i życie wróci w swoje koleiny, będzie znowu szare i zimne, i nawet jeszcze bardziej puste niż do tej pory.

Ben uśmiechnął się.

- Zaufaj mi - powiedział. - Nie musimy się śpieszyć. Nigdzie się nie wybieram.

Louise kiwnęła głową. Mało prawdopodobne, żeby to coś przetrwało noc i dotrwało do świtu. Oczy musiały ją zdradzić, bo Ben pochylił się i znowu ją pocałował.

Louise uchyliła powieki. Głowę miała pełną trzaskającego na kominku ognia, wytrawnego wina i srebrnych pudełek obwiązanych wstążkami. Ziewnęła i rozprostowała rękę. Tak dobrze nie spało jej się, odkąd...

Nie była sama.

Drogocenna jemiola

263

Nie do końca jeszcze rozbudzona, próbowała rozszyfrować sygnały wysyłane przez zmysły. Czyjeś wtulone w nią ciepłe ciało, równomierny oddech...

Obce łóżko... i choinka w jej pokoju?

Choinka!

Otworzyła szeroko oczy. Już wiedziała. To wtulone w nią ciało należy do Bena Olivera. Nie śmiała się poruszyć w obawie, że to tylko kolejny piękny sen, który łatwo spłoszyć.

Ben wymamrotał coś przez sen i wtulił się w nią jeszcze bardziej. Uśmiechnęła się i jeszcze raz przesunęła wzrokiem po pokoju. Ogień na kominku już wygasł, tak samo większość świec, a migotliwy żółty blask tych, które się jeszcze dopalały, tonął w zalewającej pokój srebrzystoniebieskawej poświacie.

Nie była jeszcze w domku nad rzeką o tak wczesnej porze i nie miała pojęcia, która to może być godzina. Może tu, nad wodą, tak właśnie wygląda świt.

Nie, to nie to. Zaintrygowana postanowiła wyjrzeć przez okno. Spuściła z łóżka jedną nogę i zaczęła się z niego ostrożnie zsuwać, ale Ben znowu zamruczał i przyciągnął ją z powrotem do siebie.

Odczekała chwilę, potem wyswobodziła się delikatnie z jego objęć, wstała, opatuliła się pledem i podeszła na palcach do okna. To, co za nim zobaczyła, zaparło jej dech w piersiach. Podbiegła do drzwi, otworzyła je na oścież i wyszła na balkon.

Śnieg.

Świeży, bielutki, leżał wszędzie - na nagich gałęziach młodych drzew, na nadrzecznych głazach, na ziemi. Przeszłość pogrzebana pod pierzyną białego puchu, idzie nowe.

Fiona Harper

Skrzypnęła za nią deska podłogi i po chwili znalazła się znowu w objęciach Bena. Oparł brodę na jej ramieniu i pocałował w policzek, tuż przy uchu.

- Wesółych świąt, Louise.

Spojrzała na niego, unosząc brwi. Zafascynowana magią ostatniej nocy, pięknem tego poranka, zupełnie zapomniała, że to Boże Narodzenie.

- Wesółych świąt - odszepnęła i chciała odgarnąć spadającą na oczy grzywkę, ale chwycił jej rękę.

- Nie rób tego - powiedział. - Tak jest lepiej. - I uśmiechnął się.

Stali tam nie wiadomo jak długo, uśmiechnięci, wpatrzeni jedno w drugie. Nie musieli się odzywać, ich spojrzenia mówiły same za siebie. Tym razem inicjatywę przejęła Louise. Zarzuciła mu rękę na szyję i wspięła się na palce.

Całowanie Bena O'Livera na ośnieżonym balkonie pokoiku nad przystanią w dzień Bożego Narodzenia było chyba jedną z najromantyczniejszych rzeczy, jakie w życiu robiła. Odnosiła wrażenie, że jarzy się od środka.

Ben pierwszy przerwał ten pocałunek, odsunął głowę, ale tylko na tyle, by mogli patrzeć sobie w oczy bez robienia zeza, i ciaśniej otulił ją pledem.

- Co byś powiedziała na lekkie śniadanie?

- Kusząca propozycja.

Przed powrotem do środka obrzuciła jeszcze raz wzrokiem okolicę. W rzece odbijały się ołowiane chmury, z kominów miasteczka po drugiej stronie rzeki unosił się dym. Jak okiem sięgnąć pobielone, zmrożone wzgórza przywodzące na myśl kulki lodów na gigantycznym, bożonarodzeniowym torcie.

Drogocenna jemiola

265

To nic, że zima skradła światu wszystkie barwy i ich odcienie, pozostawiając go monochromatycznym. Tego ranka Louise postrzegala życie w technikolorze.

Ben wbiegł do swojej sypialni i w niecałą minutę rozebrał się do naga. Nim ostatnia część garderoby opadła na podłogę, on był już w łazience i wskakiwał pod prysznic.

Rozsadzało go. Odnosił wrażenie, że tylko patrzeć, a nadmiar adrenaliny rozerwie go na strzępy.

Chciało mu się krzyczeć z radości, a najchętniej wybiegłby na ulicę, pukał do wszystkich drzwi w okolicy i informował sąsiadów, że całował najpiękniejszą, najcudowniejszą, najniezwyklejszą kobietę pod słońcem i że jak tylko się odświeży i przebierze, wraca do niej, żeby zrobić to jeszcze raz.

Krzyknął, bo szampon dostał mu się do oka. Spokojnie!

Oparł się ręką o wyłożoną kafelkami ścianę kabiny prysznicowej i oddychał głęboko. Tylko spokojnie!

Wyszedł spod prysznic, wyszczotkował zęby i przepasany ręcznikiem wrócił pogwizdując do sypialni.

Która to godzina? Spojrzał na cyfrowy budzik stojący na nocnej szafce. Dziesiąta.

Czyli to już czterdzieści pięć minut, a upłynie jeszcze z godzina, zanim znowu ją zobaczy.

Wysunął szufladę komody, wyjął z niej czyste ciuchy i ubrał się. Jeszcze jeden kontrolny rzut oka w lustro. Przeczesał palcami wilgotne włosy i znieruchomiał. Czy to właśnie widzi Louise?

Trzydziestosześcioletniego szatyna o brązowych oczach? Takiemu rysopisowi odpowiadają pewnie setki tysięcy mężczyzn w tym kraju. Nie licząc tego głupko-

Fiona Harper

watego uśmiechu, którego nie udawało mu się jakoś zetrzeć z twarzy, był zupełnie przeciętnym facetem.

No dobrze, taki całkiem nieciekawym to może nie jest, ale spójrzmy prawdzie w oczy: gdzie mu tam do mężczyzn ze świata Louise! Świata, do którego nie należy i nigdy nie będzie należał.

Ale Louise nie jest z żadnym z nich, podszeptał mu nieśmiało głosik wewnętrzny. Jest z tobą. Całowała ciebie. Kurczę, nawet chciała się z tobą kochać.

Porwał zegarek, zapiał go na nadgarstku i zbiegł po schodach, biorąc po dwa stopnie naraz. Ale znalazłszy się na dole stwierdził, że nie ma kluczy. Nie zdarzyło mu się jeszcze ich zgubić.

Przetrzęsął kieszenie kurtki, która zamiast wisieć na wieszaku, leżała na podłodze. Bez rezultatu. Włożył ją, zamiast odwiesić.

Zaczynała narastać w nim panika.

Musi wracać! Spóźni się!

Na co się spóźni? - spytał głos rozsądku. Przecież się nie pali. Czy coś się stanie, jeśli zamiast punkt jedenasta zjawi się tam pięć po?

Usiadł przy stole w kuchni, by zastanowić się, gdzie też mógł podziać te klucze, kiedy wpadł do domu. Zaraz, po kolei. Otworzył drzwi wejściowe, wszedł i... no tak, zostawił klucze w zamku.

Co się z nim dzieje? Przed oczyma stanęła mu Louise owinięta pledem, na balkonie domku nad przystanią, patrząca mu wyzywająco w oczy.

I on podjął to wyzwanie.

Pokochał Louise.

Nie był już taki pewien, czy chce biegać po sąsiadach ze swoją radosną nowiną. Zwariował?

Niewykluczone. Czy

Drogocenna jemiola

267

to, co między nimi zaiskrzyło, może mieć jakąś przyszłość? Rozsądek doradzał wycofać się, póki nie jest jeszcze za późno; serce podpowiadało, by nie tracił wiary.

Wyciągnął klucze z zamka, schował je do kieszeni i zamknął drzwi. Kochał Megan, z całą pewnością, ale przy niej nigdy nie tracił głowy do tego stopnia co przy Louise. Co to oznacza? Czy ten romans jest z góry skazany na porażkę, czy też rokuje jakieś nadzieje?

Zdecydował, że zostaje w domu. Znajdzie jakąś wymówkę i nie wróci do Whitehaven. Tak będzie najrozsądniej. Kiwnął głową, ściągnął kurtkę i powiesił ją na haczyku.

Pięć minut później siedział już w łódce i płynął na drugą stronę rzeki.

Boże Narodzenie Louise i Ben spędzili tylko we dwoje. Na świąteczną kolację zjedli lazanie, którą Louise znalazła w zamrażarce, a potem wrócili do hangaru, gdzie przez resztę wieczoru rozmawiali, śmiali się, całowali i składali sobie życzenia - nie na głos, rzecz jasna. Niektóre były zbyt intymne, by wypowiadać je głośno.

Ale co dobre, szybko się kończy. Z nadejściem nocy w sielankę, którą stworzyli, zaczęła się wkradać skrzeczająca rzeczywistość.

Louise siedziała przed kominkiem na jednym z trzcinowych foteli i czytała książkę. Ben leżał na sofie, walcząc z morzącą go sennością.

Naraz uniósł się na łokciu i spojrzał na nią.

- Louise?

Serce jej podskoczyło. Czy nie pora już pozbyć się tej reakcji na jego głos? Zaczęło się to w bożonarodzeniowy poranek, kiedy Ben wrócił odświeżony, uśmiechnię-

Fiona Harper

ty, z porcją bożonarodzeniowego śliwkowego puddingu, którą można by nakarmić pluton wojska, i butelką porto. No cóż, Boże Narodzenie można spędzać na wiele sposobów, na przykład siedząc z michą puddingu przed kominkiem.

Nie pamiętała tak udanych świąt. No, może tamte pierwsze z Jackiem mogłyby się równać z tymi świętami, ale wtedy wszystko zepsuł Toby, który się upił i pod wieczór urwał z jednym ze swoich beznadziejnych tak zwanych przyjaciół do nocnego klubu.

- Co się stało? - spytała ostrożnie.

Ben wstał z sofy, przyciągnął sobie drugi trzcinowy fotel i usiadł naprzeciwko niej.

- Co z nami będzie?

Zamknęła książkę i odłożyła ją na stolik.

- Ben, chcesz wiedzieć, czy zgodzę się zostać twoją przyjaciółką?

- No, dajmy na to - odparł z półuśmiechem. Chwyła go za kołnierzyk koszuli, przyciągnęła do siebie i pocałowała.

- Ale już na poważnie, chodzi o to, że... - podjął i na chwilę urwał - .. że Jas jutro wraca i...

Kiwnęła głową. Wszystko co dobre szybko się kończy. Jutro wszystko powróci do stanu sprzed świąt i będą udawali, że nic między nimi nie zaszła

- Rozumiem, Ben.

Odsunął się i spojrzał jej w oczy.

- Nie... Nie, Louise. Chciałem tylko ustalić z tobą, co powiemy dzieciom. Będziemy to trzymać przed nimi w sekrecie czy wykrzyczymy na głos? To delikatna sprawa i musimy zdecydować, Jak ją rozegramy.

Drogocenna jemiola

269

Zalała ją fala ulgi. A zaraz po niej druga: zakłopotania. Właśnie, co powiedzą dzieciom? Na dodatek Jack to straszna papla. Ściągnęła brwi.

- A musimy komukolwiek mówić?

A jeśli już, to jak to ujmą? Wszystko między nimi jest teraz takie nowe. Jak to zdefiniować? No i, naturalnie, trzeba jeszcze wziąć pod uwagę konsekwencje.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli się z tym ujawnimy, mogą się nami zainteresować media? - zapytała.

Ben zrobił zaskoczoną minę, tak jakby zupełnie zapomniał o tej stronie jej życia.

- Wierz mi - ciągnęła - to nic przyjemnego stać się zwierzyną łowną dla watahy namolnych fotoreporterów. Myślisz, że dlaczego zaszyłam się w takim ustroniu jak Whitehaven? A w miasteczku ty i Jas bylibyście dla nich łatwą zdobyczą.

- Jas? - W jego głosie pojawiła się panika. - Sądzisz, że ją też by fotografowali?

Pogłaskała go po dłoni.

- Dla paparazzich nie ma żadnej świętości i taką ewentualność też trzeba brać pod uwagę.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Zrobimy tak - odezwał się Ben. - Powiemy Jas i Jackowi, bo oni i tak by się szybko sami zorientowali, co jest grane, ale na razie nikomu więcej. W ten sposób zyskamy trochę czasu na oswojenie się z sytuacją. Jutro muszę być w domu, bo około południa Megan ma przywieźć Jas, ale chcę się z tobą spotkać.

Ona też tego chciała. I była gotowa przystać na każdą propozycję, byle tylko do tego spotkania doszło.

- Jeśli przyjedziesz o pierwszej po południu, ale szosą, nie

270

Fiona Harper

przez miasteczko - ciągnął - nikt cię nie zauważy. Twój samochód wprowadzimy od razu do garażu. Uśmiechnęła się do niego. Potajemna schadzka. To może być nawet zabawne.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Słysząc było silnik nadjeżdżającego samochodu. Ben nie łudził się już, że to Megan z Jas. Dzwoniła przed dwudziestoma minutami, że „trochę się spóźni”. A u Megan te „trochę” rozciągało się zwykle do kilku godzin. Dobrze będzie, jeśli dotrą tu przed piątą. Pewnie wyjechały dopiero z hotelu w Stow-on-the-Wold, gdzie spędzały święta.

Silnik nagle ucichł. To pewnie Louise. Spojrzał na zegarek. Ho-ho, pięć minut przed czasem, z jednej skrajności w drugą, pomyślał i wypadł z domu, żeby otworzyć bramę do garażu.

To rzeczywiście była Louise. Uśmiechnęła się do niego zza kierownicy. Podszedł do samochodu, a kiedy opuściła szybę, wsunął szybko głowę do środka i zaskoczył ją namiętym słodkim pocałunkiem.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem, wysiadając. Rozejrzała się. - A gdzie Jas?

Skrzywił się.

- Megan się spóźni, a więc przez kilka najbliższych godzin mam cię tylko dla siebie. Chodź.

Wziął ją za rękę i bocznymi drzwiami wyciągnął z garażu do ogrodu, gdzie zachowały się jeszcze małe spłachetki śniegu.

Znalazłszy się w domu, padli sobie w objęcia. Całując ją

Fiona Harper

zachłannie, Ben ściągnął jej czapkę oraz szalik i rzucił je byle gdzie. Zaczął rozpinąć jej kurtkę, ale poprzestał na pierwszym guziku. Na chwilę wszystko zaszło mgłą. Jego zmysły rejestrowały tylko zapach perfum Louise, dwa przyśpieszone oddechy oraz dwie zaciśnięte w piąstki dłonie zaczezione kciukami o szlufki jego dżinsów.

Potem, po chwili wahania, Louise wsunęła mu ręce pod sweter i ściągnęła go przez głowę. Dotyk jej zimnych palców przyprawił go o rozkoszny dreszczyk, krew żywiej popłynęła w żyłach. Rozpiął pozostałe guziki jej kurtki, zsunął ją z jej ramion i koniuszkami palców pogładził* jej policzek.

- Louise...

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

- Wiem, co robię, Ben. Postanowiłam...

Pocałował ją z pasją, a potem odchylił głowę i spojrzał na nią z nadzieją, że jego oczy oddają w pełni szalejącą w nim burzę uczuć.

- Chyba wiesz, że cię kocham? - Musiała się tego domyślać. Musiała wyczuwać w każdym jego spojrzeniu, każdym dotyku.

Wargi jej zadrżały, spróbowała się uśmiechnąć. Wielka łza potoczyła się po policzku.

- Nie, nie wiedziałam, ale teraz już wiem. - Pieściła dłońmi jego tors. - Pokaż mi, Ben. Pokaż, jak bardzo...

Nie potrzebował dodatkowej zachęty. Kopnął z drogi jej leżącą na podłodze kurtkę, porwał Louise na ręce i wyniósł z kuchni do korytarza. Stawiał właśnie nogę na pierwszym stopniu schodów, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi.

- A-ku-ku! Zmartwieli oboje.

Drogocenna jemiola

273

Znał to irytujące kukanie aż za dobrze. Megan. Miał na końcu języka niecenzuralne słowo, ale go nie wypowiedział.

Louise zeskoczyła mu z rąk i wbiegła z powrotem do kuchni. Dzwonek znowu się odezwał.

- Ben? Jesteś tam?

No nie, w stanie, w jakim się teraz znajduje, nie może jej otworzyć. Wpadł do kuchni i drżącymi rękami zaczął naciągać na siebie sweter. Niesporo mu to szło, ale w końcu się udało. Popędził do drzwi, krzycząc:

- Idę! Idę!

Megan nie wyglądała na specjalnie zniecierpliwioną, kiedy otworzył. Jas rzuciła się mu na szyję:

- Tatusiu!

- No, nareszcie - mruknęła Megan, przeciskając się obok niego do sieni. Mniejsza z tym, że nie mieszkała tu już od dłuższego czasu i praktycznie rzecz biorąc, powinna poczekać na zaproszenie. - Chodź, Jasmine.

Jas cmoknęła go jeszcze raz, chwyciła za rączkę torbę na kółkach i ciągnąc ją za sobą, weszła za matką. Ben zatrzasnął za nimi drzwi frontowe, w paru skokach dopadł do kuchennych i oparł się ramieniem o futrynę, blokując przejście.

Megan spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co z tobą, Ben? Przeczesał palcami włosy.

- Nic. Napijesz się kawy? - Zawsze proponował kawę Megan, kiedy ta odwoziła Jas.

Przeważnie wymawiała się brakiem czasu, ale dzisiaj, akurat dzisiaj, było inaczej.

- Owszem - mruknęła i pchnęła drzwi kuchni.

Fiona Harper

Louise była już w czapce i szaliku. Schylała się właśnie po leżącą na podłodze kurtkę, kiedy skrzypnęły otwierające się drzwi. Szybko powiesiła kurtkę na wieszaku. Skoro nie zdąży się już stąd wymknąć niepostrzeżenie, niech przynajmniej wygląda na to, że dopiero weszła.

- Louise! - Jas wpadła jak bomba do kuchni i objęła ją w talii.

- Cześć, Jas - powiedziała cicho.

Jasmine obejrzała się przez ramię i krzyknęła do wchodzącej z Benem kobiety:

- Mamo! Patrz! Louise tu jest!

Louise zupełnie inaczej wyobrażała sobie byłą żonę Bena. Długie blond włosy opadające na ramiona, markowy płaszcz w wojskowym stylu ściągnięty w talii paskiem, buty na wysokim obcasie.

Louise w dżinsach, swetrze i zamszowych, ocieplanych futerkiem butach wyglądała przy niej raczej skromnie. Obciągnęła sweter.

-Dzień dobry. - Niezbyt oryginalnie, ale uprzejmie i oględnie.

Jas oderwała się od niej i pobiegła do drzwi.

- Tato! Zaraz ci pokażę, jakie fajne prezenty dostałam od babci i dziadka! Mogę je wyjąć z bagażnika, mamo?

Megan kiwnęła głową i rzuciła Jasmine pęk kluczyków, które wyjęła z kieszeni. Dziewczynka wybiegła, a w kuchni zapanowało niezręczne milczenie.

- Jas już mnie właściwie przedstawiła, ale zrobię to jeszcze raz. Mam na imię Louise. Miło mi panią poznać.

- Megan.

Coś w tej kobiecie przypominało Louise zjeżonego kota. Ale do takich reakcji na swoją osobę zdążyła przywyknąć.

Drogocenna jemiola

275

- Odnawiam ogród Louise.

Spojrzały obie na Bena zajętego wyciąganiem kubków z kredensu.

Ogród? Dobrze. Zupełnie zapomniała o ogrodzie.

- No właśnie - bąknęła, trochę za skwapliwie kiwając głową. - Ben porządkuje mój zdziczały ogród...

Miał mi pokazać dzisiaj projekt...

- Dzisiaj? Przecież jeszcze święta. - Megan spojrzała pytająco na Bena, potem na Louise i znowu na Bena.

No trudno, jedynym sposobem na wybrnięcie z tej kłopotliwej sytuacji będzie chyba zagranie kartą sławnej i bogatej. Nie cierpiała tego, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy.

- Owszem, dzisiaj. Człowiek taki ostatnimi czasy zabiegany, rozumie pani, Megane, te ciągle podróże... - Zachichotała głupkowato, chociaż wcale nie było jej do śmiechu; to pewnie nerwy. -

Trudno znaleźć wolną chwilę na zadbanie o takie przyziemne sprawy, więc wykorzystujemy skwapliwie każdą okazję, jaka się nadarza.

- Ogród na pewno będzie zachwycający - oznajmiła Megane, a Ben spojrzał ze zdumieniem na swoją byłą żonę. - Ben to artysta w swoim fachu. - Usiadła przy kuchennym stole, zaciskając mocno usta. - Jasmine wiele mi o pani opowiadała.

Louise zerknęła nerwowo na Bena, który w rekordowym tempie przyrządzał kawę.

- Ach tak... Była dwa razy z Benem w Whitehaven, Ben oglądał ogród, a ona bawiła się w tym czasie z moim synkiem, który jest kilka lat młodszy od niej.

Megan kiwnęła głową i przeniosła wzrok na Bena, który postawił przed nią kubek z kawą i usiadł przy stole naprzeciwko Louise.

Fiona Harper

- No cóż, Louise, orientuje się chyba pani, że nie jest je-) dyną, która ma takie intensywne życie. Mamy z Benem pewne rodzinne sprawy do omówienia... - tu położyła dłoń *mi* ramieniu Bena - .. jeśli więc pani pozwoli.

- Tato! - Do kuchni wpadła znowu Jasmine z naręczem prezentów. - Patrz, co dostałam!

Ben spojrzał na Megan z wyrzutem.

- Meg, umówiłem się z Louise na pierwszą. Skąd mogłem wiedzieć, że się spóźnisz?

- Nie, w porządku, Ben - odezwała się Louise. - Sprawy rodzinne mają pierwszeństwo. Zadzwońię do ciebie, "kiedy znowu znajdę chwilę wolnego czasu. Do widzenia, Jasmine... Megan.

Zdjęła kurtkę z wieszaka przy drzwiach. Ben wstał i wyszedł z nią z kuchni na korytarz i kiedy sięgała do zasuw, chwycił za rękę.

- Nie odchodź.

Przygryzła wargę i pokręciła głową. Uniósł jej rękę do ust i pocałował wewnątrz jej dłoni.

- Prawdę mówiąc, nie możesz jeszcze odejść, bo wydałoby się, że twój samochód stoi w garażu i Megan nabrałaby podejrzeń.

Tak, racja. Ale może przecież skorzystać z promu, a po samochód wrócić później.

- Gdybyś mogła... sam nie wiem... pospacerować pół godziny nad rzeką. Oddam jej z szafy to, po co przyjechała, spławię i zadzwonię do ciebie. Masz przy sobie telefon?

Kiwnęła głową.

Wszystko zaczyna się komplikować. Marzenia przegrywają z rzeczywistością. Wiedziała, że najlepiej byłoby wsiąść

Drogocenna jemiola

277

na prom i zostawić ich samym sobie, zapisała mu jednak na karteczce numer swojej komórki.

Ben zamknął drzwi za Louise i patrzył za nią przez osadzoną w drzwiach szybkę. Zdarzały się dni, kiedy żałował, że rozpadło się jego małżeństwo, ten jednak do nich nie należał.

Kiedy Megan go zostawiła, czuł się fatalnie. Uważał się wcześniej za faceta do rzeczy, tak się starał, tyle serca włożył w ten związek, a okazywało się, że to nie wystarczyło.

Megan oczekiwała od niego czegoś więcej. Zaliczała się do kobiet, które domagają się od partnera ciągłej uwagi, noszenia na rękach, pochlebstw, a on nie był w tym dobry.

Przetarł twarz dłońmi i zawrócił do kuchni. Przez najbliższe pół godziny będzie musiał znosić cierpliwie jej obecność.

- No więc, Megan, o co chodzi? - spytał, siadając przy stole naprzeciwko niej.

Posłała mu ostre spojrzenie.

- Dziękuję ci, Ben. Miałam urocze święta. A ty?

- Tato? Spójrz na ten pamiętnik... ma elektroniczny zamek na hasło. Mogę w nim prowadzić swoje prywatne zapiski. Mama mówi, że prowadzenie dziennika pomoże mi rozwinąć się emocjonalnie.

- Piękny, Jas - mruknął Ben i odwracając się z powrotem do Megan, uniósł brwi.

Zerknęła na Jasmine i dała mu znak, by przeszedł z nią w drugi koniec kuchni. Wstał z krzesła i ruszył za nią.

- Chcę, żeby Jasmine przeprowadziła się do mnie - oznajmiła scenicznym szeptem.

Pokręcił głową. Nie, nie. Wykluczone. Decyzja w tej spra-

Fiona Harper

wie zapadła, kiedy Megan wyprowadzała się z domu. Jas miała pozostać w Lower Hadwell ze względu na szkołę. Megan podniosła głos.

- Dziewczynka w jej wieku potrzebuje matki.

Szelest przewracanych kartek dobiegający od kuchennego stołu ucichł.

Ben chwycił swoją byłą żonę za łokieć i wyciągnął ją z kuchni. Megan, zapominając o scenicznym szepcie, zaprotestowała głośno.

- Szkoda, że o tym nie pomyślałaś, kiedy od nas odchodziłaś.

Megan przeczesала palcami swoje długie włosy.

- Teraz uświadomiłam sobie, jaki to był błąd i chcę go naprawić.

- Tato! - dobiegł z kuchni zdenerwowany głos Jasmine. Nie spuszczać palających gniewem oczu z byłej żony, odkrzyknął:

- Już wracamy, kwiatuszk.

- Tak, to w twoim stylu, Ben. Chować głowę w piasek, unikać poruszania niewygodnych dla ciebie tematów.

Boże, najchętniej chwyciłby tę kobietę za ramiona i mocno nią potrząsnął.

- Megan - wycodził przez zaciśnięte zęby - nie lepiej by było nie rozmawiać o tym w obecności Jasmine?

Wzruszyła ramionami.

- Przecież o nią tu chodzi. Boże, daj siły!

- Koniec rozmowy! Zrozumiano? Zabierasz teraz swoją torbę, żegnasz się z córką i wychodzisz. A ja zadzwonię do ciebie w tygodniu i wtedy na ten temat pogadamy.

Megan obrzuciła go wściekłym spojrzeniem, wróciła do

Drogocenna jemiola

279

kuchni, wypełniła co do joty jego polecenie, a wychodząc, trzasnęła drzwiami.

Wiedział, że będzie to teraz przetrwała przez kilka dni. Co tylko usztywni jej postawę w nadchodzących negocjacjach, ale nie mógł przecież dopuścić do tego, by Jas ich podsłuchała. Poza tym sprawa nie należała do tych, które można załatwić na łapu-capu, bez zastanowienia.

Wracając do kuchni, usłyszał pisk opon ruszającego spod domu samochodu.

Louise schowała telefon do kieszeni. Megan już pojechała. Może tam wrócić. Ale nie na długo.

Odbierze tylko swój samochód i już jej nie ma. Ojciec i córka muszą mieć trochę czasu tylko dla siebie.

Przekroczyła drewniany płotek oddzielający kamienistą plażę od ulicy i ruszyła w stronę domu Bena.

Chwilę potem zmusiło ją do odskoczenia pod żywopłot nadjeżdżające z przeciwka rozpędzone szpanerskie auto terenowe z napędem na cztery koła.

Siedząca za kierownicą Megan minę miała taką, jakby przed chwilą zjadła kilo cytryn. Na widok Louise zwolniła nieco. Na jej twarzy odmalowało się zdziwienie, ale nie zagościło tam długo. Dodała gazu i minęła Louise, okadzając ją obłokiem spalin z rury wydechowej.

Nazajutrz, w niedzielę, Louise i Ben, wymieniając się esemesami ustalili, że Ben wpadnie jak zwykle do Whitehaven i powiedzą Jasmine, że są razem.

Ben z uśmiechem na twarzy płynął łódką na drugą stronę rzeki. Życie ma to do siebie, że lubi zaskakiwać. Gdyby przed sześcioma miesiącami ktoś mu powiedział, że zakocha

Fiona Harper

się w jednej z celebrytek, pewnie pękłby ze śmiechu. Z tym, że on nie uważał Louise za jedną z nich. W jego oczach była indywidualnością, kobietą dzielniejszą i silniejszą, niż skłonna była przyznać. Wspinaczka na wzgórze wlokła mu się niemiłosiernie. Dziwne, bo Jas narzekała, że idzie za szybko i ciągnęła go z tyłu za kurtkę, żeby zwolnił. W końcu ujrzał między drzewami biały dwór. Jas puściła się biegiem - pewnie po głowie chodził jej poczęstunek w postaci tortu.

Niewiele myśląc, pobiegł za nią.

Kiedy zobaczył Louise, która czekała na nich w pustej kuchni, z najwyższym trudem powstrzymał się od porwania jej w ramiona i obsypania pocałunkami. Pocieszał się myślą, że i na to przyjdzie pora.

Jak na ścieżce szedł do szklarni rzucić okiem na rośliny. Najchętniej zostałyby z Louise i Jas w kuchni i pomagał im w wypiekaniu bananowych muffinek.

Po powrocie wypił duszkiem, parząc sobie przełyk, kubek gorącej herbaty. A co tam!

- Chodź, Jas. Przejdziemy się. Jas przewróciła oczami.

- Ojej. A mogę przedtem ulepić jeszcze jedną muffinkę?

- Jak wrócimy. - Podeszedł do kuchennych drzwi i zdjął z wieszaka jej kurtkę, a kiedy się ubierała, puścił nad jej głową oko do Louise.

Odważemniła mu się najśłodszy z uśmiechów.

Ledwie drzwi się za nimi zamknęły i ruszyli ścieżką w kierunku kompleksu starych stajni, serce zaczęło walić mu jak młotem.

- Lubisz Louise, prawda, Jas?

Jas schyliła się po leżący na ścieżce patyk.

Drogocenna jemiola

281

- Tak. Fajna jest i naprawdę ładna. Zgadzał się w pełni z tą oceną. Nagle zaschło mu w ustach.

- A co byś powiedziała, gdyby ona... gdybyśmy my... -do licha, taki zdenerwowany nie był nawet oświadczając się Megan - ..gdyby Louise została moją przyjaciółką? - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Jasmine zastanawiała się, obracając w palcach patyk.

- Super! - powiedziała w końcu i uśmiechnęła się do niego. - Mogę już wracać do tych muffinek? - I nie czekając na pozwolenie, pobiegła z powrotem w stronę domu.

Ben pokręcił z uśmiechem głową. Tak łatwo poszło? Spodziewał się łez, pretensji, że nie schodzą się z powrotem z mamą, a tu proszę: Jas przyjęła to zupełnie zwyczajnie.

Podbudowany myślą, że będzie mógł objąć Louise w obecności Jas, pobiegł lekkim truchtem za córkę. Gdyby jeszcze tak samo zareagowała reszta świata, ale o to będzie się martwił później. Na razie jest to ich mała tajemnica.

Bena powinno tknąć, że coś jest nie tak, już kiedy wchodził do saloniku prasowego po gazetę. Zamiast zwyczajowego gwaru rozmów i szelestu papieru panowała tu cisza, jeśli nie liczyć echa mosiężnego dzwonka nad drzwiami, który obwieścił jego przybycie.

W saloniku przebywało z sześć osób i wszystkie bez wyjątku spojrzały na niego dziwnie.

Zdecydowanie speszony podszedł do stojaka z gazetami. Czyżby pozieleniał przez noc albo urósł o głowę? Czemu się tak na niego gapią?

Schylając się po swój dziennik, wciąż czuł na plecach te

Fiona Harper

spojrzenia. Dobra, dosyć tego. Wyprostował się, odwrócił i rozłożył ręce.

- O co chodzi?

Nadal milczeli, ale jedno po drugim przenosili wzrok na stojak z czasopismami i gazetami, który Ben miał teraz za plecami.

Odwrócił się powoli i przesunął wzrokiem po wyeksponowanych tam periodykach. Towarzystwo ożywiło się jak na komendę i rozgwarzyło. Kilka osób opuściło w pośpiechu salonik, niczego nie kupując.

Kie licho...?

Zacisnęła na chwilę powieki, by zyskać pewność, że nie ma halucynacji. Na pierwszej stronie jednego z tabloidów widniało zdjęcie bardzo dobrze znanej mu kobiety z ogniem w oczach i założonymi na piersiach rękami.

Megan!

LOUISE ZAGIEŁA PAROL NA MOJEGO MĘŻA, krzyczał nagłówek wydrukowany białymi wołami na czarnym tle. Poniżej zamieszczono dwie mniejsze fotografie, z których jedna, w kształcie serca, przedstawiała jego i Megane na zeszłorocznych letnich wakacjach, a druga, pstryknięta od dołu, Louise zdającą się patrzeć na coś z góry.

Zerwał gazetę ze stojaka. Co, u diabła, strzeliło do głowy tej Megan? A gdyby zobaczyła to Jasmine? Albo ktoś z jej znajomych?

Na stojaku zostały jeszcze trzy egzemplarze tego szmatławca, pozostałe pewnie już się rozeszły.

Chwycił te trzy, podszedł do lady i rzucił na nią dwufuntową monetę. Ani myślał czekać na resztę.

- Jak pani nie wstyd sprzedawać takie brukowce? - warknął do pani Green.

Drogocenna jemiola

283

Spojrzała na niego beznamiętnie.

- No cóż, panie Oliver, wiemy wszyscy, że Megan zostawiła pana jakiś czas temu, ale jak to ludzie mawiają...

Nie interesowało go zupełnie, co ci bliżej nieokreśleni „ludzie” mają do powiedzenia na jakikolwiek temat. Odwrócił się i ruszył do drzwi. Kiedy je otwierał, pani Green zawołała za nim:

- Nie ma dymu bez ognia.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jaka szkoda, że ta stara stajnia popadła w taką ruinę. Louise pchnęła ostrożnie skrzydło szerokich wrót. Budynek był ogromny, a środkiem ciągnęły się boksy na jednego, dwa, trzy... dziesięć koni. W suficie, nad jednym z pustych boksów, widniała kłapa wjazdu. Co się tam na górze znajdowało? Te widoczne od zewnątrz świetliki u szczytu dwuspadowego dachu nie były tylko dla ozdoby. Musi to sprawdzić, bo nie zazna spokoju. A może tylko chce się czymś zająć, żeby nie myśleć o e-mailu, który trafił rano do jej skrzynki pocztowej.

Znalazła w kącie aluminiową składaną drabinę. Przymocowała ją pod wjazd i rozłożyła, upewniając się, czy zadziałały zatrzaski bezpieczeństwa. Wspięła się zwinnie po szczeblach i pchnęła kłapę. Spowił ją tuman kurzu, na głowę posypała się lawina paprochów. Krztusząc się i przytrzymując jedną ręką drabiny, otrzepała drugą włosy.

Odczekała, aż minie atak kaszlu i wsunęła głowę w otwór. W przytłumionym świetle przesączającym się z trudem przez zapyziałe świetliki zobaczyła długi strych z belkowanym stropem. Spojrzała w drugą stronę. Strych ciągnął się przez całą długość stajni, czyli miał dobre kilkadziesiąt metrów. Pomyśleć tylko, na jaki wspaniały loft gościnny można by go zaadaptować.

Drogocenna jemiola

285

Urządziła już dom i hangar, mogłaby więc wziąć się za coś nowego. Louise odwróciła się i usiadła na szerokim stopniu u szczytu drabiny.

Pokoi w domu ma bez liku, sama nie wiedziała ile. Po co jej jeszcze loft gościnny?

- Louise!

Głos należał do Bena. W chwilę później zobaczyła go w otwartych wrotach stajni. Był zdyszany i rozczochrany.

- Tu jestem! - zawołała. - Pod sufitem. Dostrzegł ją i podbiegł do drabiny.

Jak mu to powiedzieć? Jak przygotować na trujący smak jej świata? Znienawidzi ją za to.

- Co tam robisz? A zresztą nieważne. - Podał jej rękę i pomógł zejść. Był niezwykle blady i poważny, zaciskał mocno usta.

- Ben, o co chodzi? Stało się coś?

- Tak! Stało. - Puścił jej rękę i pomaszerował do wyjścia. Za późno. On już wie. Zdążyła pomyśleć, że zaraz stąd

wyjdzie i więcej go nie zobaczy, kiedy zawrócił.

- Przepraszam, Louise. Nie o ciebie... nie na ciebie jestem zły, ale zaraz mnie chyba rozsadzi...

- Ben! - Gadał od rzeczy, a to było do niego niepodobne. Na samą myśl, że mogło stać się coś jeszcze, coś o wiele gorszego, zmroził ją strach. - Zaczynaj od początku! Jakiś wypadek?

Spojrzał na nią i pokręcił głową.

- Nie. Ale... - Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni złożoną gazetę.

O dziwo, Louise poczuła ulgę, stwierdzając, że jej początkowe przypuszczenie było słuszne.

- To Megan. Tym razem przeszła samą siebie. Przepraszam, bardzo przepraszam...

286

Fiona Harper

- Ben?

- Wchodzę rano do saloniku prasowego, a tam... a tam to... i całe gapiące się miasteczko. Spróbowała nawiązać z nim kontakt wzrokowy, ale on nie zwracał się do niej, mówił do siebie.

- Ben!

- A my tak się staraliśmy utrzymać to w sekrecie, przez wzgląd na dzieci.

Chwyciła go za ramię i potrząsnęła.

- Ben!

Urwał w pół słowa i spojrzał na nią.

- Ja o tym wiem.

Zamrugął i spuścił wzrok na gazetę.

- Agent Tobyego przysłał mi maila. Ma biuro prasowe, które gromadzi dla niego wszystkie wycinki - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do niego pocieszająco. - Wygląda na to, że wszystko się wydało. Bruzdy na czole Bena pogłębiły się.

- Jak możesz tak spokojnie o tym mówić? Nie wiesz, jak nas podsumowała? Nie wiesz, jak to w jej ustach zabrzmiało?

Owszem, wie. Wie, że Megan wyzaliła się prasie, że byli już z Benem na najlepszej drodze, by na powrót się zejść, kiedy zjawiała się ta wstrętna Louise i ukradła jej męża. Ludzie w to uwierzą. Pomimo że wyszło na jaw, że Toby ją zdradzał, opinia publiczna wybaczyła mu to i całą winę za rozpad małżeństwa przypisała jej. Była za zimna, za sztywna. Nie potrafiła dać Tobyemu tego, czego od niej oczekiwał.

- Nie bierz sobie tego tak do serca - poradziła Benowi. Popatrzył na gazetę i odrzucił ją do sąsiedniego boksu.

- Nie mogę!

Drogocenna jemiola

287

Louise nigdy nie zapomni tamtego artykułu, w którym po raz pierwszy paskudnie ją obsmarowano. Bardzo to wtedy przeżywała. Teraz nie zwracała już uwagi na takie rzeczy. Ale Ben, w odróżnieniu od niej, nie był do nich przyzwyczajony. W jednej chwili jego mały, uporządkowany, stabilny wszechświat stanął na głowie.

Podeszła do niego i otoczyła ramieniem. Cały dygotał z wściekłości. Pocałowała go lekko w policzek, w nos, w usta. .. Uspokoił się trochę i też ją pocałował.

Nieważne, co sobie ludzie pomyślą. Nareszcie to zrozumiał.

- Ben - szepnęła - liczy się tylko to, że cię Kocham. Odsunął się i spojrzał na nią tak, jakby chciał przewiercić ją wzrokiem.

- Poważnie? Roześmiała się.

- Jak najpoważniej! Uśmiechnął się niepewnie.

- Nigdy mi tego nie mówiłaś. Zaczerwieniła się.

- No to teraz mówię. - Wzięła głęboki oddech i wykrzyczała: - Kocham cię, Ben!

Ben objął ją w talii, poderwał w powietrze i zakręcił pirueta. A potem pocałował.

- To co teraz robimy? - spytał, poważniejąc i stawiając ją z powrotem na ziemi.

- Jak to co? Nic.

- Nic - powtórzył. - Co przez to rozumiesz? Wzruszyła ramionami.

- Jeśli chodzi o prasę, to pozostawiamy rzecz bez komentarza. Wszelkie próby dementowania obróciłyby się przeciwko nam.

Fiona Harper

- Ale ja nie chcę, żeby ludzie tak o tobie myśleli. To nieprawda! s

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

- Dziennikarze za nic sobie mają prawdę. Im zależy rut temacie, na tym, co najbardziej chodliwe, co pozwoli zwiększyć nakład. Ludzie, którzy czytają tego rodzaju popłuczyny!: mogą sobie widzieć we mnie jędzę pożerającą cudzych mężów, mało mnie to obchodzi. Najważniejsze, co my myślV my o sobie.

- Tak, masz rację, ale to jednak nie fair.

- Ale tak już jest i musimy się z tym pogodzić. - Westchnęła ciężko. - Może wywieźć gdzieś stąd Jas na kilka dni na wypadek, gdyby ściągnęli tutaj łowcy wywiadów i zdjęć. Sam widziałeś, do czego są zdolni.

Kiwnął głową.

- Zadzwoń do mojej siostry do Exeter. Wróciła już z urlopu i może przyjmie nas na tych kilka dni, ale ty tu będziesz. .. zdana tylko na siebie.

Wzięła go za rękę i wyszli w jasny grudniowy poranek

- Dam sobie radę, mam w tym doświadczenie. Teraz najważniejsza jest Jas.

Pokiwał głową.

- Jest teraz u koleżanki z miasteczka. Lepiej od razu do niej zadzwonię i powiem, że jedziemy w odwiedziny do cioci Tammy.

Chociaż najchętniej skreśliłby teraz Megan kark, to mieli kilka ważnych spraw do omówienia.

Nacisnął guzik dzwonek raz drugi i trzeci. Bez odzewu. Wcześniej próbował się dodzwonić na jej komórkę, ale odzywała się tylko poczta głosowa.

Drogocenna jemiola

289

Dlaczego? Dlaczego to zrobiła? Nie pomyślała, jakie to będzie miało konsekwencje dla Jasmine? Jasna sprawa, że nie pomyślała. Megan zawsze stawiała na pierwszym miejscu siebie. To ona zdecydowała o zakończeniu ich małżeństwa, ona zdecydowała, że Jasmine zostanie z nim - argumentując, że musi dojść do siebie psychicznie, zanim będzie mogła podjąć obowiązki matki - a teraz, kiedy się już pozbiierał po rozwodzie i zaczynał układać sobie życie na nowo, zabrała się za niego.

Wrócił do samochodu i pół godziny później był z powrotem w Lower Hadwell. Kiedy parkował pod swoim domem, dochodziła druga po południu. O trzeciej miał podjechać po Jasmine, a musiał się jeszcze spakować.

Wysiadając z samochodu, zobaczył Megan siedzącą na najniższym stopniu schodków prowadzących na ganek. Wspierała czoło na podciągniętych kolanach, ramiona drgały jej spazmatycznie.

Przeszła mu jak ręką odjął cała złość. Nawet żal mu się jej zrobiło. Jak strasznie musiała się czuć ze świadomością, że sprzedała prasie swoje wyssane z palca rewelacje.

Usłyszała chyba jego kroki, bo przestała szlochać i podniosła głowę. Oczy miała zaczerwienione, podpuchnięte. No dobrze, współczucie współczuciem, ale całkiem puścić tego w niepamięć się nie da.

- Czemu to zrobiłaś, Megan?

Usta wygięły się jej w podkówkę, jeszcze raz pociągnęła głośno nosem i wytarła go zmiętą chusteczką higieniczną.

- Od dwóch lat staram się iść za głosem serca, szukać szczęścia, zapełnić pustkę, jaka tu powstała... -

Dźgnęła się palcem w pierś.

Ben wsunął ręce w kieszenie.

Fiona Harper

-No cóż, może i słusznie postąpiłaś, odchodząc ode mnie. Najwyraźniej nie byłaś szczęśliwa, mieszkając tu ze mną i Jas.

Pokręciła głową.

- Nie, byłam szczęśliwa... w jakimś sensie. Ale to mi ąie wystarczało. Pragnęłam czegoś więcej. - Wlepiała w niego oczy. - Tylko nadal nie wiem, na czym to coś miałoby polegać.

Umilkła na chwilę i zapatrzyła się w przestrzeń.

- Jakiś miesiąc temu uzmysłowiłam sobie - podjęła - że nie tylko nie jestem bez was szczęśliwsza, ale wprost przeciwnie. Że naprawdę lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. - Chwyliła go za rękę. - Jesteś dobrym człowiekiem, Ben. A ja głupia tego nie dostrzegałam.

Spojrzała na niego żałośnie tymi swoimi chabrowymi oczętami i wstrzymała oddech. O nie. Domyślał się, co zaraz usłyszy, jeśli w porę nie zareaguje.

- Nie możemy już być razem, Megan. Nie kochasz mnie, a ja nie chcę, żebyś wracała do mnie tylko dlatego, że nie możesz znaleźć czegoś albo kogoś bardziej ci odpowiadającego. Ja też zasługuję na coś więcej.

Zacisnęła usta, pokiwała głową i nowa porcja łez pociekła jej po policzkach.

- Tak, zasługujesz. I przepraszam za to, czego się dopuściłam. To było chyba z... z zazdrości. -

Uśmiechnęła się do niego przez łzy. - Wystarczyło na was spojrzeć. Nie odrywaliście od siebie oczu.

Tylko... tylko nie daj jej się skrzywdzić, Ben. Widzę w niej ten sam ból, który i we mnie siedzi.

Nie. Tu Megan się myli. Louise jest od niej silniejsza. Ale nie będzie przecież o tym rozmawiał, stojąc na własnym ganku. Podał Megane rękę i pomógł jej wstać.

Drogocenna jemiola

291

Czasami była żona przypominała mu jakąś niszczycielską siłę natury, cyklon siejący zamęt i spustoszenie, ale teraz wyglądała raczej na przestraszone dziecko.

Otoczył ją ramieniem i po bratersku przytulił.

- Oboje na więcej zasługujemy, Megan. Nie zapominaj o tym.

Kiwnęła głową i pocałowała go lekko w policzek.

- Dzięki, Ben. Szczęściara z tej Jasmine, że ma takiego ojca. I tak sobie myślę... - urwała, żeby pociągnąć nosem

że chyba na razie powinna zostać z tobą. Ja mam jeszcze parę spraw, które muszę doprowadzić do końca.

Co za ulga! To chyba najdojrzalsza i najmądrzejsza decyzja, jaką podjęła Megan. Może będą z niej jeszcze ludzie.

Zadzwonił telefon. Louise podbiegła do aparatu, żeby podnieść słuchawkę, zanim włączy się automatyczna sekretarka.

- To ja, moja śliczna. -Ben?

- Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że jesteśmy już z Jas u mojej siostry.

- To dobrze. Nie zauważyłeś nikogo kręcącego się pod twoim domem?

Chwila zawahania.

- Żadnych fotografów ani nikogo w tym stylu. Odetchnęła z ulgą.

- Aha, i jeszcze jedno. Chciałbym się z tobą umówić.

- Na randkę? Ben roześmiał się.

- Tak, na randkę.

- Taką z kolacją i kinem w programie?

Fiona Harper

- Nie-zu-peł-nie - powiedział, przeciągając to słowo. -Może i dobrze się stało, że wszystko przedostało się do prasy. Już wcześniej chciałem cię poprosić, ale doszedłem do wniosku, że za wcześnie jeszcze pokazywać się razem publicznie. - Zawiesił głos. - Lord Batterham wydaje w swojej posiadłości bal noworoczny i byłbym zaszczycony, gdybyś zechciała mi towarzyszyć.

Och. Spore wyzwanie. Coś w rodzaju chrztu bojowego.

- Louise? Jesteś tam?

Zerknęła na swoje odbicie w wielkim lustrze wiszącym w korytarzu.

- Jestem, jestem - powiedziała cicho. - I bardzo chętnie pójdę z tobą na ten bal.

- Fantastycznie. Zatem widzimy się za dwa dni. Nie mogę się już doczekać.

Pożegnali się, i Louise przycisnęła słuchawkę do piersi. Bal. Normalnie znalazłaby jakąś wymówkę, żeby nie pójść, ale Benowi nie mogła odmówić.

Z nim ten wieczór będzie magiczny.

Powoli odłożyła słuchawkę i ściągając brwi znowu spojrzała w lustro. Będzie magicznie. Na pewno będzie.

Skąd więc te złe przeczucia? Skąd ta obawa, że skoro wszystko tak idealnie się układa, to w końcu musi nastąpić jakiś zgrzyt?

- Co tam jeszcze mamy na liście, Jas? - spytał Ben, pchając przed sobą wózek z zakupami, w których zrobieniu podjął się wyręczyć siostrę.

- Czasopismo dla mnie i książeczki do kolorowania dla bliźniaków cioci Tammy.

Gdy weszli do saloniku prasowego, Jas skreśliła od

Drogocenna jemiola

293

razu do działu czasopism. Ben zatrzymał się przy stelażu z gazetami i czekając na nią, wodził wzrokiem po nagłówkach wyeksponowanych tam dzienników. Nagle zamarł. Kolorowe zdjęcie Megan całującej go w policzek i podpis: LOUISE ZNOWU ODTRĄCONA. Tekstu nie było dużo, ale wypatrzył jeszcze jedno ilustrujące artykuł, małe zdjęcie Louise. Wyglądała na nim tak, jakby miała ochotę gryźć i drapać. Jasna cholera.

Jas nie może tego zobaczyć. Zdjął ze stelaża inną gazetę i wsunął ją przed tę z napastliwym artykułem. Obejrzał się. Jas machała do niego swoim czasopismem. Z całego stosu książeczek do kolorowania wybrał na chybił trafił dwie, dołączył do Jas i stanęli oboje w kolejce do kasy.

Starał się nie okazywać po sobie zdenerwowania, chociaż w środku cały chodził.

Po zapłaceniu chwycił Jas za rękę i ignorując potępiające spojrzenie, jakie mu rzuciła, pognął do wyjścia.

Jeden problem z głowy.

A co z drugim? Jak to wyjaśni Louise?

Kiedy jej skrzynka pocztowa zasygnalizowała nadejście kolejnego e-maila od Jasona, agenta Tobyego, intuicja od razu podpowiedziała Louise, że jej sen na jawie przysł właśnie jak mydlana bańka. Ścisnęło ją w dołku, zimny dreszcz przebiegł po plecach.

„Pierwsza strona dzisiejszej Daily News”, informował nagłówek. Komentarz był krótki: Przykro mi, kochanie. Jason xx.

Z palcem nad przyciskiem myszki odczekała sekundę, potem drugą. W końcu zacisnęła mocno powieki i kliknęła. Dech jej zapało w piersiach, kiedy otworzyła oczy. Zdjęcie

Fiona Harper

rozanielonego Bena w towarzystwie swojej byłej żony. Krew uderzyła jej do głowy, zaszumiało w uszach.

Myśl, Louise, myśl. Nie działaj bez zastanowienia.

Przekrzywiła głowę. Nic z tego. Pod tym kątem nie wyglądało to ani trochę lepiej. Wiedziała jednak z doświadczenia, że zdjęcia potrafią kłamać.

Ben powiedział, że ją kocha.

I sama widziała, jaki jest jego stosunek do Megan. Tole^ rował ją, nic więcej.

Zamknęła plik, ale powidok fotografii nadal utrzymywał się na siatkówce oka. Wstała i podeszła do okna. Myślała, że ma to już za sobą - ten niepokój, kiedy oglądała poranne wiadomości albo przechodziła obok kiosku z gazetami.

Rozsądek podpowiadał, że nie ma się czym przejmować. Ale to było silniejsze od niej. A jeśli...?

Przyłożyła czoło do zimnej szyby. Urzeczywistniające się marzenia są delikatne i kruche jak bombki na choince...

Odsunęła się od okna. Dostyc tego! Takie rozpamiętywanie może doprowadzić do obłądu.

Chrząst kroków na wysypanej żwirem ścieżce zwabił ją z powrotem do okna. Po raz drugi tego dnia nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Ben? Tutaj, nie w Exeter?

Docisnęła do szyby dłoń, a on w tym samym momencie spojrzął w okno i chyba ją zobaczył, bo uniósł rękę, zboczył ze ścieżki i też przyłożył dłoń do szyby od tamtej strony.

Uwierz mi, wyczytała z jego oczu.

Zastygła w bezruchu.

Drogocenna jemiola

295

Wpuść mnie, prosiły jego oczy.

Odwróciła się od okna i wolnym krokiem poszła otworzyć. Czekał pod drzwiami. Teraz, kiedy nie dzieliła ich już przezroczysta tafla szyby, oboje się zawahali. Ben pierwszy przerwał niezręczne milczenie.

- Mogę to wyjaśnić.

Nie musiał tego mówić. Jego twarz wyrażała wszystko, co chciała wiedzieć. Odcisnięty na niej ból łamał jej serce. Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła do siebie. Nie opierał się.

- Wybacz - wyszeptał, wtulając twarz w jej bark. - Powiedziała, że przyszła mnie przeprosić. Dałem się podejść.

Pokiwała głową.

- Skąd się tu wzięłeś? Gdzie Jas?

Cofnął się o krok i położył dłonie na jej ramionach.

- U mojej siostry. Musiałem cię zobaczyć, upewnić się, czy wszystko u ciebie w porządku.

Odgarnął czule pasmo włosów, które opadło jej na twarz.

- W porządku. I u mnie, i z nami. Ale co tu ukrywać, przez chwilę mną wstrząsnęło.

Z jego twarzy ustępowała bladość, ożywił się.

- Wejdz - powiedziała. - Zróbmy dla odmiany coś zwyczajnego. Napijesz się herbaty?

Ben wybuchnął śmiechem.

- Błagam, nie! Wszystko, tylko nie to! Opilem się jej już za wszystkie czasy.

- No to będziemy musieli przerzucić się na kawę. Idź wstawić wodę, ja mam jeszcze coś do zrobienia.

Patrzyła za nim, dopóki nie znikł w kuchni. Wtedy wśliznęła się do gabinetu, podświetliła e-mail od Jasona i wyka-

296

Fiona Harper

sowała go. Miała już wyjść, kiedy jej wzrok przyciągnęło odbicie dłoni Bena na szybie.

Czuła, że to na pewno coś znaczy, nie wiedziała tylko co. I znowu obudziły się w niej wątpliwości.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Droga prowadząca do Whitehaven była tak wąska i kręta, że Ben musiał zwolnić. W niektórych miejscach od stromych zboczy wzgórz opadających ku rzece oddzielały ją tylko wiekowe murki z kamienia. Księżyc wyglądał od czasu do czasu zza chmur, ale światła dawał niewiele, bo zasłaniały go wysokie sosny i buki.

Droga zaczęła ostro opadać, co oznaczało, że do bramy Whitehaven jest już niedaleko. Ben poczuł mrowienie skóry. Ostatni tydzień można było przyrównać do jazdy bez trzymanki emocjonalną diabelską kolejką. Zaledwie siedem dni, a on odnosił wrażenie, że trwało to całe lata.

Na samą myśl o tym, jak niewiele brakowało, a straciłby Louise, przeszedł go zimny dreszcz. Nie chciał drugi raz tego przeżywać. Oszalał na jej punkcie. Świadczył o tym dobitnie diament spoczywający w małym obciążonym atłasem pudełeczku, które miał w kieszeni. Nie potrafił się oprzeć, kiedy zobaczył go na wystawie sklepu jubilerskiego. Na razie nie zamierzał się z nim ujawniać.

Za wcześnie. Zabrał go ze sobą tylko ze względów bezpieczeństwa. Na szczęście.

A poza tym miał dla niej drugi, nie tak konwencjonalny prezent. Prezent, który nie pozostawi cienia wątpliwości, że

Fiona Harper

jest dla niego tą jedyną. Trochę ryzykował, ale trudno. Był zdecydowany o nią walczyć.

Światła reflektorów wyłowiły z mroku bramę Whitehaven. Ben dodał gazu.

Zaparkował przed drzwiami frontowymi. Wsiadł zdenerwowany jak szesnastolatek na swojej pierwszej randce i zadzwonił. Nikt nie otwierał. Sięgnął do przycisku, żeby wdusić go jeszcze raz, i dopiero wtedy zauważył przyklejoną pod spodem karteczkę: „Wejdz. L”.

Teraz serce naprawdę mocniej mu zabiło. Spokojnie, pomyślał. Nie ma powodu do zdenerwowania.

Przecież nic nie zamierzasz jej mówić... o nic prosić... dziś wieczorem. Za wcześnie.

Wszedł do wyłożonego marmurowymi płytami holu i zatrzymał się pod kryształowym żyrandolem.

- Louise?

- Jestem na górze! - zawołała. - Za minutkę schodzę!

I rzeczywiście, równo sześćdziesiąt sekund później usłyszał, jak na górze otwierają się drzwi, a zaraz potem na podeście zaszeleściła wieczorowa suknia.

Kiedy Louise pojawiła się u szczytu schodów i zaczęła po nich zstępować, zaniemówił z wrażenia.

Suknia była długa, granatowa, uszyta z jakiegoś ciężkiego połyskliwego materiału, rozszerzona lekko na wysokości kostek. A włosy... ułożone w lśniące fale, upięte z tyłu głowy jak u gwiazd filmowych z lat dwudziestych ubiegłego wieku.

-Wyglądasz zjawiskowo - wykrztusił, kiedy zeszła z ostatniego stopnia.

Uśmiechnęła się do niego seksownie i odwróciła powoli, prezentując mocno wycięte plecy.

Drogocenna jemiola

299

- Ty, jak na ogrodnika, też nieźle wyglądasz - zażartowała.

Nieźle? Zaraz jej pokaże.

Zanim zdążyła się cofnąć, porwał ją w ramiona i pokazał, w czym jeszcze potrafi być nieźły.

To straszne przeczucie, które nękało ją od poprzedniego dnia, wreszcie ją opuściło. Stała teraz u boku Bena we wspaniałej sali balowej Batterham Hall, magia powróciła i szybko narastała.

Obserwując wskazówkę minutową zdobnego zegara pełznącą ku północy, Louise odnosiła wrażenie, że wynurza się spod ogromnej chmury. Przeszłość miała wreszcie za sobą, mogła śmiało spoglądać znowu w przyszłość.

Odetchnęła z ulgą, stwierdzając, że połowa gości lorda Batterhama nie ma zielonego pojęcia, kim ona jest. Wyglądało na to, że wyższe sfery nie czytują czasopisma „Buzz”.

Orkiestra - nie jakiś tam kwartet smyczkowy czy zespół, ale cała orkiestra - skończyła właśnie grać.

Mistrz ceremonii zapowiedział, że przez najbliższe pięć minut, czyli już do samej północy, będzie im towarzyszył walc.

Ben objął Louise i przyjął stosowną postawę.

- Ben, wiem, że jesteś cudowny, ale postaraj się nie przy-deptywać mi w tańcu sukni. Jest od Chanel.

- Będę uważał - obiecał bez cienia ironii, chociaż tego wieczoru już z dziesięć razy nastąpił jej na stopę. Ogrodnikiem był dobrym, tancerzem marnym. - Walca mam w małym palcu - dodał z dumą.

I rzeczywiście, kiedy ruszyli do tańca, zadziwił ją swoimi umiejętnościami. Owszem, konkursu może by nie wygrał,

300

Fiona Harper

ale przestała się obawiać o swoją suknię i bez reszty oddała tańcowi.

Po pięciu minutach muzyka zaczęła przycichać, orkiestra kończyła grać.

- Dziesięć... - krzyknął ktoś nagle.

Louise, przywołana tym okrzykiem do rzeczywistości, spojrzała na Bena. Uśmiechał się, wyraźnie z czegoś zadowolony.

- Dziewięć... osiem...

- Co cię tak śmieszy? - spytała niepewnie.

- Siedem... sześć... pięć.

Ruchem głowy wskazał sufit. Spojrzała w górę.

Stali dokładnie pod wielkim stroikiem z gałązek jemioly ozdobionym od spodu fantazyjnie zawiązaną czerwoną kokardą.

Roześmiała się, ale widząc powagę w oczach Bena, też szybko spoważniała.

- Cztery... trzy... dwa...

- Jeden... - powiedział i złożył na jej ustach pocałunek tak namiętny, że sala balowa zawirowała jej przed oczami. Ludzie wokół wiwatowali, klaskali, składali sobie życzenia, wznosili toasty, ale cała ta wrzawa ledwie do nich docierała.

Kiedy Ben zakończył ten pocałunek, nie otwierając oczu zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła się w niego tak mocno, że czuła przyspieszone bicie jego serca.

Ben przybliżył usta do jej ucha.

- Wyjdiesz za mnie? - spytał szeptem.

Zmartwiała. Sen zaczął pryskać. I nie miała pojęcia dlaczego, bo przecież powinna uznać to pytanie za idealne preludium do szczęścia. Za piękne, żeby mogło być prawdziwe.

- Louise?

Drogocenna jemiola

301

Odsunęła się od niego i wygładziła atlasową suknię.

- Myślę, że czas już na nas - powiedziała, unikając jego wzroku.

Ben dogonił ją przy szatni. Pięć minut później wyjeżdżali już samochodem z Batterham Hall na krętą wiejską drogę.

- Za szybko, prawda? - odezwał się ponuro Ben. - Wyrwało mi się.

- Mam przez to rozumieć, że nie zamierzałeś tego powiedzieć?

- Nie! Chciałem tylko...

Tak, mężczyźni, dopóki nie zdobędą kobiety, skłonni są jej obiecywać złote góry. Potem im to mija. Tobi był taki sam.

- To wszystko jest takie świeże. Skąd możemy mieć pewność, co naprawdę do siebie czujemy?

Powoduje nami pierwsza fala zadurzenia i musimy ją przeczekać.

Spojrzał na nią ostro.

- Myślisz, że jestem w tobie tylko zadurzony? Rozzłościła go. Wcale tego nie chciała. Chyba powinna czym prędzej zaprzeczyć.

- Nie - mruknęła.

- To nie jest zwyczajne zadurzenie, Louise.

Zjechał gwałtownie na pobocze, zatrzymał wóz i zapalił lampkę podsufitową. Nie patrzył na nią.

Louise przełknęła z trudem ślinę.

- Może i jestem trochę zadurzony, jeśli to właściwe określenie tego, co się ze mną dzieje. Myślałem, że spotkałem kobietę, która jest moją drugą połową, z którą spędzę resztę życia...

Wzruszenie ścisnęło jej krtań. Tak ładnie to powiedział, ale jeśli dobrze przeanalizować jego słowa...

Czy on nie rozumie, że potrzebują więcej czasu?

Fiona Harper

Spojrzał na nią znowu, oczy mu płonęły.

- To coś więcej, Louise. Pokręciła głową.

- Nie możesz wiedzieć tego na pewno. Za wcześnie. Zacisnął usta.

- Mylisz się. Dobrze wiem, co czuję, czego pragnę. Trudno o większą pewność. To ty jej nie masz.

A skąd miałyby mieć? Realne życie to nie sen na jawie ani film, gdzie w ułamku sekundy wszystko staje się jasne. Już raz to przerabiała i skończyło się spektakularną katastrofą. Oczywiście, że nie jest pewna!

- Ani trochę mi nie wierzysz - powiedział z przygnębieniem i wrzucił bieg.

Louise go odpycha i sam jest temu winien.

Niepotrzebnie tak się pośpieszył. Ale bardzo się myliła, twierdząc, że to, co do niej czuje, to tylko zadurzenie. I on jej to jakoś udowodni. Ciekawe, z czego wynika ten jej brak zaufania? Skąd ta panika? Musiał dotknąć jakiejś czulej struny, niezagojonej jeszcze rany.

Kiedy podjechali pod Whitehaven, uparł się, że wejdzie z nią do środka. Był przekonany, że jeśli tak to teraz zostawi, to ona zamknie się w swojej skorupie i nie będzie miał drugiej okazji, by przemówić jej do rozsądku.

Najlepiej kuć żelazo, póki gorące.

Wpuściła go, ale niechętnie. To było widać. Zirytowana wprowadziła go do bawialni i poczęstowała marną brandy. Przysiadła na obitej purpurowym aksamitem sofie, on usadowił się w fotelu stojącym pod przeciwległą ścianą.

- Dlaczego mi nie wierzysz, Louise? Co sprawia, że tak trudno ci zaufać własnym uczuciom?

Drogocenna jemiola

303

Wzięła głęboki oddech i milczała. Cholera! Przez pięć długich minut wpatrywała się w wygaszony kominek. Potem, wciąż nie odrywając oczu od paleniska, powiedziała:

- Boję się, Ben. Za bardzo pragnę, żeby tak było naprawdę. Zerwał się z fotela i w jednej chwili był przy niej. Te rany

były zbyt stare, zbyt głębokie, by dało się je zaleczyć na poczekaniu. Ależ z niego głupiec. Gdyby o nich wiedział, postępowałby ostrożniej. Ale zmylił go pogodny nastrój, w jakim ostatnio Louise się znajdowała...

Przytuliła się do niego, ale wciąż patrzyła w puste palenisko. Objął ją i gładził delikatnie palcami naga skórę jej ramienia. Nie odepchnęła go. Nie chodziło już o to, żeby ją przekonać. Teraz najważniejsze to wydobyć z niej to, co od tak dawna ją gnębiło.

Czekał, zdając sobie sprawę, że ponaglanie jej pytaniami może przynieść odwrotny skutek.

Odezwała się wreszcie głosem tak cichym, że musiał pilnie nadstawić ucha, by ją słyszeć.

- Od wczesnej młodości stawiałam innych na pierwszym miejscu, co nie jest takie naganne. Nie zrozum mnie źle. Ale nawet gdybym próbowała z tym skończyć, to nie miałam wyjścia. Nauczyłam się tylko marzyć o życiu, którego nie mogłam mieć, matkując swoim młodszym braciom i siostram i opiekując się ojcem. - Spojrzała na niego oczami pełnymi bólu. - To był chyba mój mechanizm obronny.

- Wszyscy takie mamy - rzekł łagodnie.

Odwróciła wzrok. Ben domyślił się, że łatwiej jej mówić, kiedy na niego nie patrzy.

- Pewnego dnia - podjęła - podszedł do mnie ktoś i spre-

Fiona Harper

zentował mi wszystkie moje marzenia zapakowane w mieniące się pudło przewiązane piękną wstążką: sława, sukces, popularność, pieniędzy w bród... I miłość. Myślałam, że znalazłam tego wymarzonego. Ben westchnął. Właśnie przed takim dzieciństwem pragnął uchronić Jasmine. Wyobraził sobie tę dzielną kobietę, jak w wieku jego córki prowadzi dom, uczy się, opiekuje chorym ojcem.

Czy można się dziwić, że żyła marzeniami?

- I stałam się samolubna. Zaczęłam myśleć przede wszystkim o sobie. - Po policzkach Louise potoczyły się łzy, ukryła twarz w dłoniach.

Ben przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy. Wiedział doskonale, kto ją obwinia o tę przemianę: ona sama. Jeden po drugim elementy układanki trafiały na swoje miejsca, fragmenty tego, co mu o sobie opowiadała, nabierały wreszcie sensu: jej związek z Tobym, jej ojciec, przyczyny, dla których o wszystko obwiniała zawsze siebie.

- Nie możesz czuć się winna śmierci ojca. Z tego, co mi mówiłaś, wynika, że był bardzo schorowany. Chyba nie ujął tego najlepiej, bo Louise już zupełnie się rozkleiła i zalała łzami. Wypływało z niej wszystko to, co przez lata w sobie tłamsiła.

- Ale... - wyszlochała przez łzy - ..nie powinnam była go zostawiać!

Ludzie myśleli, że wytrzymała tak długo z Tobym, bo nad swoją godność przedkładała blichtr i sławę. Jakże się mylili. Dotarło to do niego teraz z pełną wyrazistością: Louise była z Tobym, bo uważała, że sobie na niego zasłużyła. Współzycie z nim traktowała w kategoriach pokuty.

I jeszcze jedno porażające odkrycie. Ta cudowna nowo-

Drogocenna jemiola

305

roczna niespodzianka, którą szykował dla Louise. Na gorszy pomysł nie mógł wpaść.

Louise uniosła jedną powiekę. Wspięła się nad ranem na górę tak wyczerpana, że nie miała już sił zasunąć zasłon i teraz przez okna wpadały skośne promienie słońca.

Bolały ją oczy, głowa, nawet gardło. Do tego czuła klucie w żołądku i nudności. Nadmiar emocji, nadmiar łez. Najchętniej wszystko by teraz odwołała i udawała, że nic się nie stało. Co Ben musiał sobie o niej pomyśleć?

Uniosła się na łokciu. Zostawiła go układającego się do snu pod kocem na sofie - bez sensu, zważywszy, że w domu było dziesięć wolnych pokoi - ale się uparł.

Spuściła nogi z łóżka i natrafiła stopą na coś śliskiego i niewiarygodnie gładkiego. Na podłodze leżała jej suknia od Chanel. Podniosła ją, ułożyła na niskim, obitym skórą fotelu i weszła do łazienki, by wziąć prysznic.

Kiedy ubrana w szary dres i różowe kapcie opuściła sypialnię, na dole panowała niczym niezmacona cisza. Jeszcze wczoraj rano zbiegłaby po schodach, żeby się z Benem przywitać. Dzisiaj nie miała jakoś ochoty się z nim widzieć. Była na niego obrażona.

Za kogo on się uważał, ciągnąc ją za język? Kto dał mu do tego prawo?

W kuchni znalazła karteczkę: „Zaraz wracam. Muszę coś załatwić. Ben”.

Zmięła ją w małą kulkę i wrzuciła do kosza na śmieci. Wstawiła wodę na herbatę i jeszcze raz powtórzyła sobie w myślach listę zarzutów, jakie mu przedstawi.

Kiedy dopijała herbatę, rozległo się pukanie do kuchennych drzwi. Otworzyła. Za progiem stał z ponurą miną Ben.

Fiona Harper

Zanim zdążył coś powiedzieć albo ją dotknąć, wróciła bez słowa na swoje miejsce.

Wszedł do kuchni i nie zdejmując kurtki, oparł się o szafkę. - - Muszę ci coś wyznać.

Omam nie parsknęła śmiechem. Co znowu? Może ma drugą zapasową żonę, którą więzi na strychu?

Wycofała się w drugi koniec kuchni, założyła ręce na piersi i uniosła pytająco brwi.

- Umówiłem się w tym tygodniu z dziennikarzami. Zamierzałem udzielić im wywiadu... o nas.

Louise patrzyła na niego z niedowierzaniem. Zamknął oczy i pokręcił głową.

- Wiem, wiem. Wtedy wydawało mi się, że to świetny pomysł. - Otworzył oczy i spojrzał na nią. -

Chciałem walczyć w twoim imieniu, powiedzieć światu, jaka cudowna z ciebie osoba, że nie jesteś wcale taka, za jaką wszyscy cię uważają... Chciałem, żeby ujrzeli cię taką, jaką ja cię widzę.

Wielce szlachetny zamiar. A przy tym bardzo głupi.

- Rozmyśliłem się - zakończył. - Odwołałem to spotkanie.

- Bardzo dziękuję, że mi o tym powiedziałeś. - Poziom sarkazmu w jej głosie zaskoczył nawet ją.

- Nie bądź taka.

- A dlaczego, Ben? Dlaczego nie wolno mi się złościć, kiedy się dowiaduję, że podejmujesz decyzje za mnie? - Wzięła się pod boki i powoli pokręciła głową. - Nie przyszło ci do głowy, że wołałabym to robić samodzielnie?

Odepchnął się od szafki i ruszył w jej stronę.

- To nie tak, Louise. ja cię kocham. Cofnęła się, wciąż kręcąc głową.

- Nie jestem żadną z twoich głupich roślin, czymś, czego trzeba doglądać i pielęgnować. Nie możesz mnie kształtować,

Drogocenna jemiola

307

Ben. Jestem, jaka jestem, i musisz się z tym pogodzić... A jak nie potrafisz, to może w ogóle nie jesteś mi potrzebny.

Ben zatrzymał się i patrzył na nią.

Jak ma ją przekonać?

- Wiem, że wszystko popsuję, Louise. I wiem, że wyrwałem się z tą propozycją jak filip z konopi, ale to tylko dlatego... Nigdy niczego takiego do nikogo nie czułem, nigdy. Nie chcę cię stracić.

Chciał powiedzieć coś pięknego, eleganckiego, poetyckiego, ale nic takiego nie przychodziło mu do głowy. Więc w końcu powiedział po prostu:

- Kocham cię. I zawsze będę kochał.

Czytał z jej oczu, że bardzo chciałaby mu wierzyć, ale się boi. Patrzyła na niego z dziwną mieszaniną irytacji i zakłopotania na twarzy. Odwrócił się i podszedł do drzwi. Otworzył je, przekroczył próg i obejrzał się, żeby jeszcze raz na nią spojrzeć.

- Do widzenia, Louise - powiedział, zaniknął drzwi i ruszył w kierunku samochodu.

Kiedy prace renowacyjne w starej stajni dobiegły końca, kwitły już drzewa. Park wyglądał cudownie, lecz Louise podziwiała go ze smutkiem. Ludzie Bena odwalili kawał porządnej roboty.

Jego samego nie widziała od Nowego Roku. I bardzo dobrze, bo nie potrafiłaby mu teraz spojrzeć w oczy. Tak dobrze już się między nimi układało, a ona zaprzepaściła tę szansę na szczęśliwe życie.

Bezpowrotnie.

Zdjęła z haczyka pęk kluczy i skierowała się do stajni. Pora sprawdzić po raz ostatni, czy wszystko tam gotowe na przyjęcie gości.

308

Fiona Harper

Pośrodku małego brukowanego dziedzińca przed stajnią tryskała teraz fontanna, a na jego obwodzie stały donice z roślinami i ławeczki dla spragnionych słońca. Wewnątrz było jeszcze ładniej. Cztery mieszkanek z wygodami, które sama urządzała, wyposażone we wszystko, czego potrzeba na spędzenie wolnego od trosk tygodnia.

Kiedy kończyła się zima i na zboczach wzgórz zakwitły przebiśniegi, Louise nawiązała współpracę z organizacją dobroczynną Relief specjalizującą się we wspieraniu młodych ludzi, którzy muszą się opiekować chorymi lub niepełnosprawnymi członkami rodzin. Relief poszukiwała miejsc, gdzie ich protegowani mogliby wypoczywać, regenerować siły i poznawać podobnych sobie.

To był ostatni kontrolny obchód. Za godzinę mieli się tu zjawić pierwsi pensjonariusze. Trzy dziewczęta i jeden chłopiec z Londynu. Uklepała poduszkę na jednej z sof w świetlicy, z której wchodziło się do jadalni i do kuchni.

Zdawała sobie sprawę, że podchodzi do tego zbyt emocjonalnie, ale chciała zapewnić tym dzieciakom jak najlepsze warunki wypoczynku. Zasługują na to.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pod koniec tygodnia lokatorzy nowych mieszkań przestali wpatrywać się w nią jak w obraz i już śmielej prosili o upieczenie czegoś smacznego, a nawet próbowali się z nią przekomarzać. Jack też był zadowolony, że ma towarzystwo. W sobotę razem z Kate, opiekunką, zabrali trójkę swoich „gości” - Jamesa, Letitię i Rebecę - na wycieczkę po terenie posiadłości.

Na kwaterze została tylko Molly, cicha zahukana dziewczynka, która przez cały tydzień trzymała się na uboczu. Louise zastała ją na dziedzińcu przed stajnią.

- Cześć, Molly! No i jak? Molly spuściła głowę.

- Może być.

- Dobrze się bawisz? Molly skrzywiła się,

- Tak. - Odgarnęła włosy z czoła. - Mogę zadzwonić do domu?

Louise przysiadła się do niej. Wiosenne powietrze było wonne i rześkie, słońce przygrzewało.

- Naturalnie, że możesz. Ale wydawało mi się, że rano już tam dzwoniłaś.

Molly kiwnęła głową i spojrzała w bok.

- U twojej rodziny wszystko w porządku. Dobrze sobie

Fiona Harper

radzą. Relief zapewnił im fachową opiekę na czas twojego pobytu tutaj.

Molly nie wyglądała na przekonaną.

- Ale ja wolałabym się upewnić.

Louise miała ochotę objąć ją i przytulić, ale nie miała pewności, czy zostałyby to dobrze przyjęte.

Dziewczynka miała dopiero czternaście lat, a już musiała się opiekować niepełnosprawnymi rodzicami. Psycholog uprzedzał ją, że niektóre z tych dzieci mogą być zamknięte w sobie.

- A może chciałabyś się czymś zająć? Molly ożywiła się.

- Nie mogę nastarczyć z pieczeniem. Chciałabym upiec dzisiaj dla was tort czekoladowy i przydałby mi się ktoś do pomocy.

Po raz pierwszy od początku pobytu w Whitehaven Molly uśmiechnęła się.

- Chętnie pomogę.

W kuchni Molly zaczęła się odprężyć. Louise już wiedziała, dlaczego do tej pory chodziła taka przygaszona.

- Molly - powiedziała - nie miej wyrzutów sumienia, że tu jesteś. Twoi rodzice chcieliby, żebyś dobrze się bawiła i wypoczywała, a nie chodziła z nosem na kwintę i zamartwiała się o nich. Zasłużyłaś na to.

I przytuliła Molly.

Pewnego rześkiego majowego poranka Ben wszedł jak zwykle do saloniku prasowego, by kupić gazetę. Pani Green podała mu tę właściwą, nie czekając, aż poprosi. A potem podsunęła mu jeszcze bez słowa jakiś kolorowy magazyn dla kobiet.

- Nie, dziękuję, pani Green - powiedział, oddając jej czasopismo. - Ja takiego czegoś nie czytuję.

Drogocenna jemiola

311

Pani Green pokręciła głową.

- Myślałam, że pana zainteresuje.

Też coś. Już miał się roześmiać, ale tego nie zrobił. Jego wzrok przyciągnęła para czarnych gniewnych oczu na okładce. Louise. Udzieliła wywiadu.

Odsunął się na bok, żeby nie blokować klientom dostępu do lady, i zaczął przerzucać strony. Wreszcie znalazł ten wywiad. Był długi.

Czytał go w drodze do domu, zatrzymując się co kilka kroków i uśmiechając. Cudowna kobieta.

Zawsze tak twierdził. I ona wreszcie w to uwierzyła.

Nie tylko odrestaurowała pięknie Whitehaven, ale udzielała wywiadu promującego organizację charytatywną, której wolontariuszką teraz była. Serce mu rosło, kiedy czytał, że zamierza studiować zaocznie psychologię dziecięcą.

Zaniknął czasopismo i jeszcze raz spojrzął na okładkę. Tak, te oczy były ciemne i piękne jak zawsze, ale teraz nie ma już w nich tamtej pustki.

To może się okazać najgłupszym pomysłem, na jaki kiedykolwiek wpadł. Z duszą na ramieniu uwiązał łódkę do żelaznego pierścienia przy hangarze. Tak, to zdecydowanie jest jego najgłupszy pomysł.

Był wspaniały letni dzień, minęło właśnie południe. Stał przez chwilę niezdecydowany na kamiennym moło. Gdzie o tej porze może być Louise?

Coś błysnęło na balkonie przystani. Spojrzął w tamtym kierunku. To słońce odbiło się w szybie otwieranych drzwi. Jeszcze chwila i... na balkon wyszła Louise.

Uśmiechała się, jej czekoladowe włosy lśniły w słońcu.

Fiona Harper

Zastygł w bezruchu, zamurowało go. Jak to możliwe, że zapomniał, jaka jest piękna?

Oparła się rękami o balustradę i oddychała głęboko słonym rzeczonym powietrzem.

Nagle zobaczyła go i też zeszywniała. Stali tak dłuższą chwilę i patrzyli na siebie.

Potem ona znowu się uśmiechnęła, a on puścił się biegiem, dopadł schodków i biorąc po dwa stopnie naraz, wspiał na górny poziom. Zatrzymał się w drzwiach.

Louise stała plecami do rzeki, oparta o balustradę. Lekki wietrzyk poruszał frędzlami u jej długiej spódnicy.

- Ben - powiedziała z uśmiechem - jak dobrze znowu cię widzieć.

Kiwnął głową. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy, pozostawało tylko wypowiedzieć swoją kwestię.

- Ciebie też.

Z walącym sercem przekroczył próg i wyszedł na balkon. Miał ją teraz na wyciągnięcie ręki, ale jej nie dotknie - jeszcze nie teraz.

- Czytałem wywiad z tobą. Kiwnęła głową.

- A więc, Ben, czemu zawdzięczam twoją wizytę? Zadała to pytanie żartobliwym tonem i wypadałoby się

roześmiać, ale nie było mu jakoś do śmiechu.

- Ja... eee... zapomniałem ci coś dać. Ściągnęła brwi.

- Kiedy?

- W dniu Bożego Narodzenia.

- Boże Narodzenie było dawno temu.

Wsunął rękę do kieszeni i znalazł tam pudełko wielkości dłoni.

Drogocenna jemiola

313

- Wiem. Ale niektóre prezenty mają własne poczucie czasu. Na ten było wtedy trochę za wcześnie.

Przygryzła wargę.

- Spodoba mi się?

Teraz albo nigdy. Wyciągnął paczuszkę z kieszeni.

- Nie mam pewności, czy i teraz nie jest na niego za wcześnie, ale czasami... nie można czekać za długo. Rozwiązała powoli wstążkę, upuściła ją na podłogę i otworzyła pudełko. -Och...

Och? „Och” pozytywne czy „och” negatywne?

- Och, Ben!

Pozytywne. Odetchnął z ulgą. Zmarszczyła nos.

- Jemiola? Przecież to już lato! - Ostrożnie wyjęła przewiazaną białą wstążką gałązkę z pudełka. - I prawdziwa!

- Najprawdziwsza - zapewnił ją. -Skąd ją...?

Wzruszył ramionami.

- Mam swoje dojścia.

- Jak mam to rozumieć, Ben?

- Czy to nie oczywiste?

Znowu przygryzła wargę i odwróciła wzrok.

- Chcesz... chcesz mnie pocałować?

Też pytanie. Ale zanim to zrobi, musi coś od niej usłyszeć.

- Kocham cię, Louise. I zawsze będę kochał. Pokręciła głową.

- Po tym wszystkim, co ci powiedziałam? Nie zasługuję na to!

- Właśnie, że zasługujesz.

Sześć miesięcy temu wyczytałby z jej oczu wątpliwo-

314

Fiona Harper

ści. Ale kobieta stojąca przed nim teraz spojrzała na niego, uniosła powoli rękę, w której trzymała małą zieloną gałązkę, wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy, zwracając w jego stronę twarz.

Nie doczekawszy się reakcji, Louise uniosła jedną powiekę. -Ben?

- Przyjrzyj się bliżej tej gałązce.

Posłuchała go i dopiero teraz zauważyła pierścionek z diamentem, przywiązany do gałązki białą aksamitną wstążeczką.

- Wyjdiesz za mnie?

Gałązka wysunęła się Louise z rąk. Schylił się i ją podniósł. Louise wyglądała, jakby była w transie.

Obrócił gałązkę jemioty w palcach i spróbował jeszcze raz. -Wyjdiesz...?

- Tak! Och tak, Ben! - Rzuciła się na niego, o mało nie strącając go z balkonu.

Pociągnęła za koniec wstążki i nanizany na nią pierścionek spadł jej na dłoń. Podniosła na niego wzrok, śmiejąc się i kręcąc głową. Oczy jej błyszczały.

- Ty naprawdę istniejesz, Ben?

Kiwnął głową, musnął wargami jej usta i wsunął pierścionek na jej palec.

- Wszystkiego najlepszego z okazji Bożego Narodzenia, Louise - wyszeptał, a potem wziął ją w ramiona i pociągnął za sobą w chłodny mrok domku na przystani.